Nr. 34. Warszawa, dnia 22 (10) Sierpnia 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CIĘŻKI KŁOPOT.

Ukaz, zabraniający wywozu żyta z Rosyi od 27 sierpnia, spadł jak grom na głowy niemieckie i wywołał niebywały popłoch. Przez kilka dni ceny tego produktu skakały na giełdach i targach, jak szalone, nie wiedziano, co robić i jak płacić. Ażeby zrozumieć ten zamęt, musimy nieco rozejrzeć się w położeniu. Ogólna produkcya żyta wynosiła przeciętnie podczas pięciolecia (1884—88) 454 miliony hektolitrów rocznie; z sumy tej więcej niż połowa, mianowicie 248 mil. h., przypadało na Rosyę; ponieważ zaś inne państwa zachowują swoje zbiory dla siebie, jest ona więc jedynym poważnym wywózcą zboża w świecie. Z 11,9 milionów cetn. metr. bowiem żyta wysyłała ona we wspomnianym okresie czasu 10,7 mil. rocznie — a więc prawie wszystko. Jakkolwiek nie cała ta masa przechodziła przez ręce niemców, w znacznej części uczestniczyli oni jako odbiorcy i pośrednicy; zakaz przeto ugodził naprzód w ich firmy zbożowe, które straciły olbrzymi produkt handlu.

Nie mniej odczuła go ludność. Pomijając wykazy dawniejsze, zaznaczymy tylko, że w r. 1890 z 8,8 milionów cetn. m. przywiezionego żyta 7,6 mil. c. m., a w pierwszej połowie r. b. z 3,5 mil. c. m. 3,1 przybyło z Rosyi. Ona więc jest niemal wyłączną dostarczycielką tego ziarna dla Niemiec i to dostarczycielką w kolosalnej mierze. Miara ta obecnie bynajmniej się nie zniży. Od r. 1888 ludność Niemiec wzrosła o 4 miliony głów, które wymagają około 400—500,000 tonn żyta rocznie. Ponieważ zaś urodzaje tegoroczne wypadły tam słabo, zapotrzebowanie więc przywozowe niewątpliwie objawi się szerzej. Zauważyć tu jeszcze winniśmy, że skutkiem zaprowadzenia opłat wchodowych ceny żyta w tym kraju doszły do niezwykłej wysokości. Podczas gdy 1,000 kilogramów kosztowało w r. 1879 — 120 marek, w roku bieżącym płacono już 212, czyli o 92 więcej. Po ogłoszeniu zakazu w pierwszych dniach cena ta podskoczyła do 250 m., a wreszcie nie miała już żadnej stałej normy. Ponieważ od dnia wydania ukazu do terminu, w którym on obowiązywać zacznie, przez dwa tygodnie granica pozostanie jeszcze otwartą, a jak pisma donoszą rolnicy i kupcy robią nadzwyczajne wysiłki w omłocie i transportach, ażeby jak najwięcej przewieźć żyta, pewne więc jego partye zdążą umknąć; będzie to wszakże dość mała część zapotrzebowania Niemiec. Krótki bowiem przeciąg czasu, zwłaszcza w porze nieukończonych jeszcze robót polnych, przy trudnościach komunikacyi, nie pozwoli ziemianom i kupcom przewieźć wiele zboża. Kilka milionów cetnarów nie jest ładunkiem, któryby można przerzucić z kraju do kraju w ciągu dni kilkunastu. Niemcy przeto znajdą się wobec braku i strasznej drożyzny produktu, który stanowi dla nich jeden z najważniejszych środków żywności.

Jakże sobie radzi rząd niemiecki z tym niespodziewanym a ciężkim kłopotem? Zachowuje dziwnie sfinksową postawę, która mu zyskuje coraz większą niepopularność. Już nietylko żywioły opozycyjne, ale zachowawcze, bezpośrednio zainteresowane w utrzymaniu wysokich cen zboża, zaczynają go atakować. Rzeczywiście trudno pojąć, co popycha Capriviego do ślepego uporu i do walki bronią, którą mu przeciwnicy odrazu z rąk wytrącają. Kiedy na wiosnę postępowcy, przewidując niedostatek, żądali w parlamencie zniżenia lub zawieszenia ceł, kanclerz odpowiedział im, że tego nie uczyni, gdyż urodzaje w Niemczech zapowiadają się dobrze, a Rosya ma tyle zapasów zboża starego i tak pewne nadzieje pomyślnych plonów, że tanio zadośćuczyni potrzebie sąsiadów. Jakkolwiek Caprivi zaręczał, że wiadomości te posiada z najlepszego źródła, okazało się, że improwizował, czy też został okłamany, a w każdym razie nie miał pojęcia o istotnym stanie rzeczy. Urodzaje bowiem w Niemczech wypadły źle, a Rosya ma taki niedobór w plonach, że zakazała wywozu żyta. Zdawało się, że kanclerz pobity faktami ulegnie i postara się możliwie złagodzić klęskę, znosząc cła przynajmniej na czas, poprzedzający chwilę wprowadzenia zakazu w życie. Tymczasem ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, zwoławszy radę ministeryalną, objawił w dzienniku urzędowym, że nie widzi potrzeby opuszczania dotychczasowego stanowiska. Jako jedyną ulgę zamierza zniżyć taryfy kolejowe na przewóz zboża z wschodnich do zachodnich prowincyj państwa, co bardzo blizko graniczy z kpinami, a zresztą oświadcza, że o ile Stany Zjednoczone nie zastąpią Rosyi w dostarczeniu żyta, będzie można pokryć braki pszenicą i kartoflami. Dodaje w końcu, że rezultat tegorocznych zbiorów w Niemczech jest jeszcze niewiadomy, a od niego zależyć będzie zapotrzebowanie ziarna obcego. Przeczytawszy to — ludzie znający sprawę gruntownie, osłupieli. Naprzód bowiem Stany Zjednoczone nie mogą „zastąpić" Rosyi, bo wywożą zaledwie $\frac{1}{20}$ lub $\frac{1}{40}$ część ilości jej eksportowanego żyta. Powtóre skarb państwa może zamiast żytniego dawać armii chleb pszenny, bo posiada środki, ale nie może tego uczynić ludność biedna. Dla niej pozostają kartofle, lecz te nie równoważą w pożywności zboża, a przytem licho w Niemczech obrodziły. Całe więc usprawiedliwienie oporu przeciw zawieszeniu ceł jest pajęczą tkanką bredni, niewytrzymujących żadnej krytyki.

Nigdy też może Bismark za swe rządy nie był tak powszechnie napastowany, jak Caprivi. Zarzuty sypią się na niego ze wszystkich stron — a nie są to wyrazy nienawiści lub nieprzyjaźni, ale lekceważenia jego uzdolnień i nagany dla bezmyślnego uporu. Z niektórych krzyków jak gdyby przebrzmiewa rozczarowanie i tęsknota za Bismarkiem. „On by nas nie wprowadził w takie błoto" — woła jedna z gazet.

Naturalnie, z tego „błota" czerpią stronnictwa opozycyjne pełnemi garściami i ciskają w potępianego kanclerza. Rzec też można, że on wiele utracił ze swej popularności i że go czekają ze strony przeciwników bardzo ostre starcia w sejmie. Jest to zaś fakt tem donioślejszy, że wraz z Caprivim nadwyręży swoją popularność cały rząd, który rozpoczął istnienie od czułej opieki nad klasami ubogiemi, a teraz wyłącznie osłonił swem skrzydłem bogate — wielką posiadłość ziemską. Sprawa ceł zbożowych oddziałała tak głęboko na stosunki wewnętrzne Niemiec i będzie miała tak poważne następstwa, że Mefistofeles w Friedrichsruh może ze złośliwym uśmiechem zacierać ręce.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Eskadra admirała Gervais, która tak nagle i niespodziewanie wyrosła na wielki czynnik polityczny, w tych dniach już przybywa do Portsmuth. Jakie znaczenie jej odwiedzinom nadają anglicy, widać już chociażby z tego, że lord Salisbury, odpoczywający w willi swojej na gruncie francuskim, umyślnie przyjedzie do kraju dla powitania gości. Forma i przebieg przyjęcia wykaże zapewne różnicę z uroczystościami kronsztadzkiemi, a w każdym razie to spotkanie będzie bardzo pilnie badane i rozbierane przez prasę.

Konserwatyści angielscy chcą widocznie ogołocić liberałów ze wszystkich środków agitacyjnych i porozwiązywać kwestye najważniejsze z możliwem dla nich zadowoleniem interesowanych. Obecnie zapowiedzieli wniesienie do parlamentu szeregu projektów, mających na celu samorząd Irlandyi, zwłaszcza pod względem administracyjno-policyjnym. Jednocześnie zamierzone są reformy ekonomiczno-społeczne. Między torysami a wigami angielskimi istnieją tak nieznaczne różnice, że tylko jakaś sprawa bieżąca może jednym lub drugim dostarczyć oręża do walki. Sprawa taka jest osią sporów, hasłem wyborczem, przyczyną tryumfów i porażek. Gladstone chciał kwestyi irlandzkiej użyć do walki z przeciwnikami. Tymczasem Salisbury wyrywa mu ją i chce załatwić, dopóki jest przy władzy. Wtedy bowiem wyborcy już nie mieliby dość ważnego powodu do oglądania się za „starym mężem," który mógłby dalej zajmować się bez przeszkody Biblią i Homerem.

Rozpowszechniona telegraficznie pogłoska twierdzi, że sułtanowi tureckiemu przesłano z Egiptu raport, donoszący o wielkiem niezadowoleniu ludności z anglików, którzy ją gnębią, wyzyskują i usuwają z wszelkich stanowisk urzędowych. Jakoby skutkiem tego doniesienia Porta zażądała od Anglii podjęcia kwestyi egipskiej, co znaczy — usunięcia wojsk z nad Nilu. Nie bez słuszności dojrzano w tej sprawie wpływ francuski i połączono ją z grzecznością, jaką objawił lord Salisbury dla eskadry, powracającej z Kronsztadu. Usiłuje on francuzów zjednać sobie i zobowiązać do zgody w Egipcie.

Król serbski wyjechał do Francyi, gdzie z ojcem przebędzie kilka tygodni. Odwiedził prezydenta Rzeczpospolitej, przyczem obaj uczcili się wzajemnie orderami. Regenci, towarzyszący królowi, powrócili do Belgradu i zdali sprawę ze swej podróży ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczów.

Dotąd sypią się oskarżenia o kłamstwo na Crispiego za jego artykuł w *Contemporary Review*. Główne smaga go prasa francuska i watykańska. Pierwsza dowodzi mu ciągle, że Francya nigdy nie spiskowała z papieżem przeciw Włochom i że „kwestyę rzymską" uważa za rozstrzygniętą, druga zaś twierdzi, że właśnie Leon XIII objawiał najszczersze chęci do zgody z rządem włoskim i właśnie Crispi udaremniał wszelkie porozumienie się. Kto tu prawdę mówi — trudno docieć. Rozumie się Crispi nie pozostanie dłużnym odpowiedzi i wystąpi z nowym artykułem, bo oświadczył, że tę polemikę zamierza prowadzić wytrwale.

Organ watykański *Osservatore romano* od pewnego czasu gwałtownie uderza na troiste przymierze. Strzały jego nie mogły się podobać katolikom niemieckim; to też jeden z nich, Schorlemer Alst, odparł je bardzo energicznie. Rozeszła się też pogłoska, iż z Watykanu ma wyjść oświadczenie, że owe artykuły są samodzielnym wytworem redakcyi. Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że pomiędzy papieżem a Rzeczpospolitą francuską nastąpiło w ostatnich czasach znaczne zbliżenie.

Uwielbienia dla Rosyi objawiają się nieprzerwanie we Francyi. Zarówno publiczność, jak ministrowie nie opuszczają żadnej sposobności stwierdzenia swoich zachwytów i przyjaźni.

Cesarz niemiecki, który, skutkiem upadku na pokładzie i zranienia sobie nogi, nie mógł w Kielu opuścić statku, podobno już zupełnie przyszedł do zdrowia i ma odbyć przegląd floty.

SPRAWY EKONOMICZNE.

GRUNTY WŁOŚCIAŃSKIE.

Gorące przywiązanie chłopa do ziemi pozostało dziś tylko przędzą z bajki. Rzeczywistość ujawniła tak liczne fakty masowej ucieczki ludu z własnych zagonów, że nawet najżarliwsi obrońcy „Ślimaków" muszą gwałtem wtłaczać w siebie obraz duszy chłopa wymarzonego i silić się na zatrzymanie w wyobraźni tych złudzeń. Ludzie tacy przypominają kaznodziejów, którym rozum się zbuntował, a usta jednocześnie gromy ciskają na niewiernych. Siła przywiązania chłopa do ojcowizny zależna jest od ilości ziemniaków, żyta, gryki, prosa, trzody chlewnej, bydła. Skoro te nie dopisują, uczucie słabnie i rodzi się pociąg

---

9)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Rozdział III.

Tydzień przechodzi w rozkoszy i weselu. I tym razem udało mi się ujść niebezpieczeństwu. Jadam codziennie, odwaga moja rośnie, korzystam z chwili, kuję żelazo póki czas. Trzy czy też cztery rozprawy mam w robocie, pożerają one każdą iskierkę, każdą myśl mego biednego mózgu, a ja mniemam, że praca lepiej mi teraz idzie, niż dawniej. Ostatni artykuł, dla którego tyle się nabiegałem i na który tyle liczyłem, z redakcyi mi zwrócono: obrażony, rozgniewany, zniszczyłem go bezzwłocznie, nie odczytawszy nawet sobie uprzednio. Na przyszłość pójdę do innego pisma, utoruję sobie tym sposobem inną jeszcze drogę. Gdyby i to nie pomogło, w najgorszym razie ratunek znajdę na okręcie. Ot np. „Mniszka" stoi w porcie, gotowa do jazdy: w zamian za moją pracę zabrałaby mnie może do Archangielska lub dokądkolwiek. Widoków na przyszłość mam dosyć.

Ostatnie przejście bardzo mi zdrowie nadszarpało: włosy wychodzą mi pękami, ból głowy męczy mnie straszliwie — szczególnie rano: zdenerwowanie nie ustępuje. Piszę w dzień, owijać muszę ręce gałgankami, ponieważ nie znoszę własnego oddechu. Gdy na dole Jens Olaf silniej trzaśnie drzwiami stajennemi, lub pies na podwórzu zaszczeka, już zimne kłócie przeszywa mnie do szpiku kości, sprawiając ból w całem ciele. Zmarniałem.

Dzień w dzień ślęczę nad moją pracą; tyle zaledwie odpocznę, ile trzeba, aby coś przełknąć i dalej siadam do roboty. Zarówno łóżko, jak mój kulawy stolik obsiane są kartkami zapisanemi i notatkami, nad któremi naprzemian pracuję. Tu i owdzie dodaję nowy jakiś pomysł, wykreślam niepotrzebny, martwe punkty za pomocą barwniejszego słowa gdzieniegdzie ożywiam, wogóle zaś z trudnością zdanie po zdaniu kreślę. Pewnego popołudnia wreszcie artykuł kończę: szczęśliwy, zadowolony, chowam go do kieszeni i udaję się z nim do „Komandora." Był już wielki czas starać się znowu o trochę pieniędzy: środki moje nie na długo starczyć mogły.

„Komandor" prosi, ażebym chwilkę spoczął; natychmiast... i pisze dalej.

Rozglądam się po małym kantorze: biusty, litografie, wycinki, kosz do papierów tak potwornie wielki, że zdaje się, jakoby człowieka ze skórą i kośćmi chciał pożreć. Widok tej bezdennej otchłani, tej paszczy smoczej smutkiem mnie przejmuje. Kosz zdaje się mówić, że wiecznie otworem stoi po to tylko, aby nowe wzgardzone prace — świeżo, rozbite nadzieje — pochłaniać.

— Którego dzisiaj mamy? — pyta nagle „Komandor."

— 28-my! — odpowiadam, uszczęśliwiony tem, że mogę mu oddać przysługę.

— 28-my! — I pisze dalej. Nareszcie zamyka kilka listów, rzuca papiery do kosza i składa pióro. Potem odwraca się na krześle i patrzy na mnie. Spostrzegłszy, że stoję jeszcze u progu, wskazuje mi krzesło, na pół żartobliwym, na pół poważnym ruchem ręki.

Bojąc się, ażeby nie zauważył, że nie mam kamizelki, odwracam się i wyciągam rękopis z kieszeni.

— Mała charakterystyka Corregia! — powiadam — lecz niestety pewnie nie tak napisana, aby pan...

Bierze mi papiery z rąk i przegląda kartki, twarzą do mnie zwrócony.

Tak więc wygląda człowiek, którego nazwisko od najmłodszych lat słyszę, a którego pismo największy zawsze wpływ na mnie wywierało! Włosy w puklach spadają mu na czoło, oko ciemne, trochę niespokojne — od czasu do czasu sapie. Ksiądz szkocki nie ma łagodniejszego oblicza; niktby nie powiedział, że to niebezpieczny literat, którego słowa, padając, krwawe za sobą pozostawiają smugi. Ogarnia mnie dziwnie zmieszane uczucie obawy i podziwu! Łzy nieledwie w oczach mi stają, mimowoli przybliżam się, aby wyznać, jak wdzięczny mu jestem za wszystko, czego mnie nauczył, i poprosić, aby nic złego mi nie uczynił: jestem biedny partacz, którego życie i bez tego smutne...

Podnosi oczy i zwolna, namyślając się, składa mój rękopis. Ażeby ułatwić mu odmowę, wyciągam rękę i mówię:

— Więc nie!.. Naturalnie do niczego!

do poszukania czegoś lepszego. Stąd powstał przelot za ocean stad zgłodniałych, które nawet się nie obejrzały na gniazda swoje. Obrońcy miłości kmiecej dla kraju wskazują, jako ostatnią deskę zbawienia swych twierdzeń, tęsknotę i rozpacz ludu na obczyźnie. Ten głuchy ból, targający duszę chłopską, nie jest niczem innem, jak uświadomieniem bezsilności, obawą zagłady śród nowego, groźnego otoczenia. Kraj porzucony przedstawia się wtedy, jak tonącemu zwieszona nad wodą gałąź. Zbiedzony i wyzyskany kolonista brazylijski chciałby wrócić nie dla tego, że umiłował słońce swoje, niwy, powietrze, chałupę ciasną, ale że tu mniej przeraża przyszłość, bo w razie nawet nędzy zrozumieją go pobożni, gdy wyciągnie rękę pod kościołem. Nie tkliwość zatem, ale zapewnienie bytu, lub przekonanie, że za morzem lepiej nie będzie, potrafi przykuć chłopa do jego strzechy rodzinnej. Skoro jedno i drugie jest niedoścignione, pozostają inne sposoby uwiązania go do ojcowizny. To właśnie poniekąd mają na celu ogłoszone świeżo przepisy o wywłaszczeniu, oddawaniu w dzierżawę, lub zastaw gruntów włościańskich tudzież o parcelowaniu osad w Królestwie Polskiem. Jeszcze 1864 r. w Ukazie Najwyższym zastrzeżono, iż osady uwłaszczone nie mogą być nabywane, ani brane w zastaw przez nikogo innego, jak tylko przez włościan. Ograniczenie to miało być czasowem, postanowienie zaś Komitetu urządzającego z 11 stycznia r. 1866 przedłużyło termin do lat 10-ciu pod warunkiem uchylenia rozporządzeń przez Rozkaz Najwyższy. Dotąd jednak postanowienie to trwa jeszcze. Nadto prawo oddzielnie zastrzegło *minimum* podziału osad włościańskich na sześć morgów. Nie przeszkodziło to jednak rozpadaniu się ich na niemożliwie drobne przy obejściu wszelkich przepisów. Skutkiem tego z 42,344 drobnych osad nadanych włościanom bezrolnym, przeważnie w dobrach rządowych i poduchownych, po 13 latach zostało 32,000, czyli zniknęło niespełna 10,000, tj. około 800 rocznie. Jeżeli będziemy liczyli przynajmniej po cztery osoby na każdą, otrzymamy pokaźną sumę przeszło 3,000 włościan wydziedziczanych co rok, dzięki tylko rozdrabnianiu osad. Wzrasta ono z rokiem każdym bardzo widocznie. Według obliczeń Anuczyna, przed kilkunastu laty na jedno gospodarstwo przypadało przeciętne 12½ morga; w kilka lat potem, wedle danych Buczyńskiego, po 10. Głównie ulegają rozdrabnianiu średnie gospodarstwa, większe przeciwnie, wzrastają, dzięki temu, iż zasobniejsi wolą spłacać dzieci gotówką. Ta nierównomierność stawia większość gospodarzy ubogich w zależności od bogatszych, którzy chętnie dają pieniądze na zastaw ziemi, korzystając z dochodów gruntowych w procencie. Wyniszczają oni przytem rolę dłużnika, a wrazie nieakuratności jego, zagarniają na własność. Jest to drugi czynnik wydziedziczania, któremu nie mogły nawet zapobiedz uprzednie przepisy o „unieruchomieniu“ ziemi. Tego rodzaju lichwa braterska wzrosła jeszcze bardziej przy ożywieniu się parcelacyi. Ubożsi jęli kupować grunty za pieniądze pożyczane częściej prywatnie niż z banku, niezbyt dostępnego dla mas niezasobnych. Zamiast ulgi przybył ciężar dla wielu nad siły, więc dla ulżenia jedyną ucieczką znowu pomoc sąsiedzka gospodarzy zamożnych w tej samej, co poprzednio, formie. „Takim sposobem powstają coraz liczniejsi skupywacze gruntów, pijawki wysysające krwawicę ubogiego chłopstwa, które wpadłszy raz na lep parcelacyjny, nie może już zeń się wydostać bez szwanku. Wadliwość organizacyi nabywania działek jest uderzająca, a jej usunięcie zbyt trudne z powodu wielce złożonych przyczyn, jak nieuregulowane wszędzie służebności i gmatwanina formalistyczna. Żarliwi popieracze parcelacyi są niestrudzeni w pomysłach. Między innymi *Ziarno*, któremu głównie chodzi o to, iżby szlachcic korzystnie spieniężył strzępki swych posiadłości, doradza utworzenie pośrednictwa pomiędzy nim i nowonabywcami z jednej, a Bankiem włościańskim z drugiej strony. Operacya taka miałaby na celu przedewszystkiem przygotowanie kwestyj prawnych i finansowych, „tak, iżby Bank przystąpić mógł do interesu zupełnie gotowego.“ Pismo to uważa za najwłaściwsze przyjęcie tych czynności przez jakąkolwiek z istniejących instytucyj finansowych. „Zaznajomiwszy się dokładnie z warunkami wymaganymi przez Bank włościański, możnaby dopiero wówczas przystępować do interesu, gdyby była pewność, że warunkom tym będzie mogło stać się zadość.“ W razie zdobycia pewnych kupców możnaby nawet nabyć większy majątek, jeśliby zachodziła konieczność regulacyi hypoteki. „Bank włościański dziś takiej tranzakcyi dokonać nie może gdyż to przekracza zakres jego statutów.“ Tym sposobem powstałaby nowa instytucya pomocnicza do parcelacyi, która przewlekłością formalistyki, skrzętnem badaniem stanu rzeczy, utrudniłaby jeszcze bardziej nabywanie ziemi masom ubogim, a „pewnymi kupcami“ pozostaliby nadal bogaci gospodarze, skupywacze gruntów, pochłaniający słabszych.

Dzięki świeżo ogłoszonemu prawu działalność ich lichwiarsko-zaborcza będzie przynajmniej w części utrudniona. Osoby, mające prawo nabywać, brać w zastaw lub dzierżawę grunty włościańskie, podzielono na trzy kategorye: Do pierwszej należą włościanie i mieszczanie-rolnicy gubernij Królestwa Polskiego, zapisani do tabel likwidacyjnych i nadań, oraz ich zstępni potomkowie. Do drugiej poddani ruscy mieszkańcy Królestwa Polskiego, którzy mogą być uznani za włościan lub mieszczan-rolników, zajmujący się uprawą ziemi i innemi w bezpośrednim związku z nią robotami. Do trzeciej — osoby urodzone w Cesarstwie, należące do stanu włościańskiego. Zaliczony do pierwszej kategoryi, pragnący nabyć, wydzierżawić lub wziąć w zastaw grunt uwłaszczony, powinien przy akcie złożyć rejentowi poświadczony stosownie wypis z tabeli likwidacyjnej, tudzież ewentualnie wypis z aktów stanu cywilnego, dowodzący, iż nabywca pochodzi w prostej linii zstępnej od osoby do tabeli zapisanej. Włościanie drugiej kategoryi (nie zapisani do tabeli likwidacyjnej; powinni uzyskać i dołączyć do aktu rejentalnego poświadczenie, iż mogą być uznani za włościan lub mieszczan rolników. Jeżeli chodzi o dzierżawę rejentalną gruntu, to wystarcza poświadczenie wójta gminy lub magistratu. Umowa dzierżawna może być zawartą także prywatnie, bez poświadczenia, ale z warunkiem nieważności w pewnych wypadkach. W razie kupna lub zastawu, bezwarunkowo z umową rejentalną, poświadczenie osobom drugiej kategoryi wydaje komisarz do spraw włościańskich, opierając się na wypisach z ksiąg ludności, na uchwale gro-

---

I uśmiecham się, ażeby pokazać mu, że nie biorę sobie tego do serca.

— Drukujemy tylko bardzo popularne rzeczy! Pan zna naszą publiczność! Czy nie mógłby pan tego uprościć trochę? Albo napisać coś innego, coś przystępniejszego?..

Delikatność jego wprawia mnie w podziw. Rozumiem, że artykuł mój przepadł, a jednak żadna odmowa nie mogła być uprzejmiejszą. Nie chcę mu dłużej przeszkadzać, zapowniam więc:

— Owszem, mogę!

Idę ku drzwiom... Hm. Niechaj wybaczy, że tyle mu tem czasu zająłem! Składam ukłon i chwytam za klamkę...

— Jeżeli pan potrzebuje pieniędzy, mogę służyć małą zaliczką! — rzeknie. Pan mi ją później odrobi!

Propozycya ta upokarza mnie: teraz wiedział już przecież, że pisać nie umiem!

— Nie, dziękuję, na jakiś czas środki mi jeszcze starczą! Ślicznie dziękuję! Polecam się!

— Żegnam pana!

I „Komandor“ nachyla się znowu nad biurkiem.

Pomimo to wszystko uważam, że zachował się wobec mnie nader życzliwie; za życzliwość tę wdzięczny mu byłem: nie zapomnę jej nigdy. Postanawiam sobie przyjść do niego dopiero wtedy, kiedy będę mógł przynieść pracę bez zarzutu: praca ta „Komandora“ w podziw wprawi i bez namysłu 10 koron za nią mi wyznaczy. Wracam do domu i nanowo zabieram się do bazgraniny.

Od tego dnia, co wieczór, po zapaleniu gazu, koło godziny ósmej spostrzegam, co następuje:

Zaledwie wyjdę poza bramę, ażeby po trudach całodziennych w przechadzce znaleźć wytchnienie, tuż przy słupie latarnianym spostrzegam damę, czarno ubraną. Zwraca ku mnie oblicze i, ilekroć koło niej przechodzę, śledzi za mną spojrzeniem. Tę samą zawsze nosi suknię, gęsta zasłona okrywa jej rysy i opada na piersi; w ręce trzyma parosolik z obrączką z kości słoniowej.

Widzę ją przez trzy wieczory, zawsze na tem samem miejscu: zaledwie ją minę, odwraca się powoli i oddala się w przeciwnym kierunku.

Wzburzony mój mózg wyciąga macki i niebawem ogarnia mnie niedorzeczne przeczucie, jakoby wizyty tej pani do mnie się odnosiły. W końcu już — już chcę do niej przemówić, chcę zapytać, czy może kogo szuka, czy potrzebuje mojej pomocy, czy dla bezpieczeństwa wśród ciemnych ulic przyjmie moje towarzystwo, pomimo że nędznie jestem ubrany. Lecz wstrzymuje mnie nieokreślona obawa: może to pociągnąć za sobą koszty, kieliszek wina, fiakr, a ja nie już nie mam pieniędzy; rozpaczliwie próżne kieszenie przygnębiają mnie i przechodząc koło niej nie mam nawet odwagi spojrzeć śmielej trochę. Głód nawiedził mnie znowu, od wczorajszego wieczoru nie nie jadłem; co prawda, to jeszcze niedługo, nieraz po kilka dni już pościłem; schudłem jednakże ogromnie i tak jak dawniej głodzić się już nie mogłem. Po jednym dniu już byłem jak oszołomiony, łyk wody sprawiał mi mdłości. Przytem w nocy marzłem, do łóżka kładłem się w ubraniu, co wieczór trząsłem się w febrze, w nocnej porze zastygałem prawie z zimna. Stara kołdra nie chroniła mnie od przewiewów, a rano budziłem się, ostre bowiem, lodowe powietrze, przenikające przez szpary do wnętrza, nos mi prawie zmrażało.

Idę ulicą i myślę, jak wyżyć, póki artykułu nie ukończę. Gdybym tylko miał świecę, spróbowałbym i w nocy pisać; przez parę godzin zawsze trochę się w pracy posunę, zwłaszcza, kiedy się na dobre rozpiszę. A jutro mogę się przecież zwrócić do „Komandora.“

Bez namysłu zdążam do kawiarni: poszukam owego znajomego z banku i od niego pożyczę sobie 10 oerów na świecę. Bez żadnej przeszkody przechodzę przez wszystkie pokoje, mijam z tuzin stolików, około których goście gwarzą, jedzą i piją; przenikam do samego jądra kawiarni, do „czerwonego pokoju“ — a przyjaciela mego nie widzę. Przygnębiony i zły wychodzę znowu na ulicę, puszczam się w drogę ku zamkowi.

Na szatana żywego, dlaczegóż moje zmartwienia skończyć się nie chcą! Z zaciśniętemi pięściami w kieszeniach, z kołnierzem brutalnie do góry podniesionym, w wielkich, wściekłych krokach mierzę ulicę i przez całą drogę przeklinam moją nieszczęśliwą gwiazdę. Od siedmiu, ośmiu miesięcy ani jednej prawdziwie spokojnej godziny, czasem, przez jaki tydzień zaledwie, najuboższy posiłek i znowu nędza, i znowu bezsilność! Przy całej mojej niedoli byłem

madzkiej, jeżeli nabywca należy do gromady i—na własnych informacyach. Obowiązkiem komisarzy włościańskich jest także przestrzeganie powyższych przepisów. W razie ich przekroczenia, komisarz, prokurator, albo osoby zainteresowane wytaczają w sądzie gminnym proces o nieważność umowy, a grunt nieprawnie nabyty wraca do poprzedniego właściciela, który musi zwrócić sumę pobraną. W przeciwnym razie grunt ulega sprzedaży licytacyjnej.

W tych formalnościach i zwiększonym rygorze widzimy właśnie częściowe utrudnienie dla operacyj lichwiarskich włościan bogatych. Szkoda tylko, że wogóle nowe przepisy dotyczą wyłącznie gruntów włościańskich, zapisanych do tabel likwidacyjnych i nadań, pomijają zaś te, które nabyto po uwłaszczeniu drogą zwykłych tranzakcyj cywilnych. Według obliczeń p. Simonienki *), po r. 1864 własność włościańska w Królestwie Polskiem zwiększyła się niespełna o dwa miliony morgów i 267,000 osad, tj. prawie o $^1/_3$ poprzednich obszarów, a więc na takiej przestrzeni będą się odbywać nadal operacye lichwiarskie i rozdrabnianie gruntów, czyli, licząc najmniej po 4 osoby na osadę, przeszło szósta część włościan w Królestwie Polskiem będzie narażona na wydziedziczenie. Ponieważ obliczenia p. S. pochodzą z przed kilku laty, kiedy jeszcze o parcelacyi nie było słychać, można więc przypuszczać, że ilość osad włościańskich nieuwłaszczonych wzrosła o wiele więcej, a zatem nawet po potrąceniu procentu wydziedziczonych w tym okresie, liczba kandydatów na bezrolnych jest imponująca.

Ważny jest zakaz wydzierżawiania osad i gruntów włościańskich, wciągniętych do tabel likwidacyjnych i nadań — osobom stanu niewłościańskiego. Umowy dzierżawne, zawarte przez takie osoby przed wydaniem nowego prawa, pozostają w swej sile do upływu terminu dzierżawy, jeżeli ten nie przekracza lat 20. Jeśli zaś umowa zawarta była na czas dłuższy lub bezterminowo, to pozostaje w swej mocy do lat 20 od daty wydania nowego prawa, tj. do 26 lipca (7 sierp.) 1911 r. Zaroi się mrowie przemysłowe, osiadłe od dawna na gruntach chłopskich, zmuszone do usunięcia się pod rygorem prawa. W wielu bowiem miejscowościach na gruntach wydzierżawionych od włościan pobudowano fabryki wielkie i nawet całe osady fabryczne. Wprawdzie mają one do likwidacyi termin 20-letni, ale pomimo to nie obejdzie się bez znacznych szczerb, zwłaszcza, że niektóre gałęzie produkcyi są ściśle związane z miejscowością. Zakaz rozdrabniania gruntów włościańskich jest właściwie wzmocnieniem poprzedniego. Dzielenie może się odbywać pod warunkiem: 1) aby przestrzeń gruntu pozostała przy zagrodzie właściciela nie miała mniej niż sześć morgów nowopolskich; 2) aby każda cząstka, bądź sama przez się, bądź w połączeniu z przyległym gruntem nabywcy nie miała również mniej, niż sześć morgów. W nowych przepisach zrobiono jeszcze jedno ważne zastrzeżenie, iż żydzi nie mogą nabywać, brać w zastaw, dzierżawić i zarządzać lub w inny sposób użytkować z gruntów włościańskich. Reszta przepisów jest usankcyonowaniem dotychczasowych, wprowadzonych dawniej w życie. Jak widzimy, myślą przewodnią nowego prawa jest uczynienie ziemi włościańskiej (pochodzącej z nadania i uwłaszczenia) nietykalną przez niewłościan i utrzymanie ludu na owych gruntach.

Zenon Pietkiewicz.

*) *Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego*, Galicyi i W. Ks. Poznańskiego.

BADANIA NAUKOWE.

POJĘCIA FILOZOFICZNE I MATEMATYCZNE

o przestrzeni a spirytyzmie.

II. *)

Pokolenia, wychowane w pogardzie dla filozofii, z łatwością przerzucają się z krańcowego realizmu do mistycznych niedorzeczności, bo utraciły równowagę ducha, jaką nadaje krytyczna ocena podstaw myśli. Kategoryczny zakaz przekraczania dziedziny faktów, za pomocą którego pozytywizm usiłuje utrzymać życie w granicach wiedzy ściślej, usuwając wszelkie metodyczne i krytyczne zbadanie tego, co za temi granicami leży, wytwarza zbyt nietrwałą równowagę, której utrata pociąga za sobą rzucanie się na oślep w zamkniętą przez ten zakaz dla systematycznego badania dziedzinę; popęd zaś do tajemniczości, niezrozumiałości, nie znajdując wyjścia w dziedzinach, w których bez szkody dla myśli rozwijać się może, wdziera się w niewłaściwe sobie zakresy, sprawiając zamęt i chaos w myśleniu. Z tego zamętu wynurza się spirytyzm, boskość tlenu i inne podobne majaczenia. Myśl, pozbawiona podstaw krytycznych, przesadza w jednym *salto mortale* przepaść, dzielącą mistycyzm od racyonalizmu, aby pierwszemu nadać pozory drugiego i ubrać go w szatę niby naukową.

Ów skok, którego dokonywają spirytyści, aby związać stukanie stołów, chwytanie za nogi w ciemnym pokoju lub wywoływanie duchów, z pojęciami naukowemi o przestrzeni, jest mniej więcej następujący: Jeśli przestrzeń rzeczywista ma większą ilość wymiarów, niż ta, w której wszystkie przedmioty sobie wyobrażamy, to niektóre zjawiska, odbywające się w kierunku wymiarów niedostępnych naszemu ujęciu, będą dla niego również niedostępne, np. składowa siły działająca w kierunku 4-go wymiaru nie istnieje dla nas, gdy zaś składowa ta zmieni kierunek w ten sposób, iż się nam ujawni, będzie się nam wydawało, iż coś powstaje z niczego, lub odwrotnie, gdy siła, działająca dotąd w kierunku innych wymiarów, przejdzie do 4-go, wyda się nam, że coś znikło bez śladu.

Rozumowanie to, które się pozornie wiąże z ideą podmiotowości przestrzeni, wykazuje zupełne niezrozumienie tak zasadniczej idei Kanta, jako też dalszych z niej wyników. Formy ujęcia zmysłowego, jak i formy czyli kategorye logiczne, według których świat pojmujemy, płyną z tej samej organizacyi ducha i pozostają z sobą w związku. Wszystkie nasze pojęcia o świecie zewnętrznym wynikają z wyobrażenia o nim, jako mieszczącym się w przestrzeni o trzech wymiarach i po za tak wyobrażanym światem żadnej wartości nie mają.

*) Patrz nr. 32.

---

jeszcze uczciwy, z gruntu byłem uczciwy! Boże, zmiłuj się, jaki ze mnie głupiec! Przypominam sobie, jakie to miałem wyrzuty sumienia, kiedy kołdrę Jana Pauli zaniosłem do lombardu!.. Śmieję się szyderczo z tej wrażliwej prawości, pełen wzgardy dla siebie samego — spluwam, nie znajdując słów, któreby dosyć dotkliwie ośmieszyły moją głupotę. Niechby to dzisiaj miało miejsce! Niechbym w tej chwili znalazł grosz ze skarbonki dziecka, ostatni grosz wdowy, czy nie podniosę go spokojnie, czy nie będę spał, jak zabity! Niedarmo tyle przecierpiałem, teraz cierpliwość moja wyczerpana — na wszystko jestem przygotowany!

Kilka razy obchodzę zamek, poczem zamierzam wrócić do domu; skręcam jeszcze do Parku i przez ulicę Karola-Jana zdążam do siebie.

Jest mniej więcej jedenasta. Na ulicy dosyć ciemno, wszędzie widać jeszcze ludzi: ciche pary i gwarne gromadki. Wybiła właśnie *wielka* godzina, to czas, który kryje tajemnice i rodzi wesołe przygody. Szelest sukien kobiecych... krótki zmysłowy śmiech... falujące łona... oddech prędki, zmęczony z szybkiego biegu... gdzieś na dole głos, wołający: „Emmo“!.. Cała ulica to bagnisko, z którego podnoszą się gorące opary.

Mimowoli szukam, czy nie znajdę w kieszeni dwóch koron! Namiętność, drżąca w ruchach każdego przechodnia, ciemne światło latarni gazowych, cicha ciężka noc, wszystko to działa na mnie... Działa powietrze pełne szeptów, pocałunków, drżących wyznań, słówek niedopowiedzianych i łkań cichych pełne! Ot w bramie Blomquist widzę parę kotów, które kochają się — wśród wielkiego krzyku!.. A ja nie posiadam koron! Taka bieda — to rozpacz, nieszczęście niebywałe! Jakie upokorzenie, jaka bezcześć! I znowu powtarzam, że skradłbym ostatni grosz wdowi, chusteczkę uczniaka, worek żebraka, bez wahania zaniósłbym je do galganiarza, aby otrzymaną za nie sumę przetrwonić... Dla pocieszenia się zaczynam szukać wad w tych wszystkich ludziach, którzy się przed mojemi oczami snują: wzruszam ramionami i lekceważąco spoglądam na przechodzące koło mnie pary. Ci skromni, łakomi studenci myślą, że klepiąc jakąś tam szwaczkę po biodrach, dopuszczają się europejskiej rozpusty! Franty, urzędnicy bankowi, kupczyki, lwy bulwarowe, wy, którzy niczem nie gardzicie! Spluwam daleko ponad wał miejski, nie troszcząc się o to, że plwocina na kogoś spaść może! Jestem gniewny, pełen pogardy dla tych ludzi, którzy przed mojemi oczami wzajemnie do siebie się tulą. Podnoszę głowę... czuję, że z niebios spływa na mnie błogosławieństwo, które mnie jednemu po czystej pozwala stąpać drodze...

Na placu Stortingu spotykam dziewczynkę, która wyzywającem mierzy mnie spojrzeniem.

— Dobry wieczór! — mówię.

— Dobry wieczór!

Staje.

— Hm! Tak późno sama idzie na spacer? Czy to nie niebezpieczne, aby młode dziewczę o tej porze samo szło ulicą Karola Jana? Nic? Czy nie zaczepili jej jeszcze nigdy, nie obrazili, czy poprostu... ktoś czasem nie poprosił, ażeby z nim do domu poszła?..

Patrzy na mnie zdziwiona, jakby badając, co przez to właściwie myślę. Potem nagle wsuwa mi rękę pod ramię, mówiąc:

— Więc chodźmy!

Idziemy. Minąwszy fiakry, zatrzymuję się, oswobodzam swoje ramię i mówię:

— Słuchaj, moja panienko, nie mam ani szeląga przy duszy!

I chcę się oddalić.

Ale ona z początku mi nie wierzy i maca moje kieszenie, a nic nie znalazłszy, wpada w gniew, odrzuca główkę w tył i nazywa mnie „idyotą.“

— Dobranoc! — powiadam.

— Niechże pan czeka!.. Czy to złote okulary?

— Nie.

— To niech pana dyabli wezmą!..

Z tem oddalam się.

Po chwili dościga mnie i przywołuje napowrót.

— A jednak pozwalam panu pójść z sobą!..

Upokarza mnie ta ofiarność ulicznicy.

— Nie — odpowiadam — za późno, mam jeszcze wizytę, a panienka na takie zbytki pozwalać sobie nie może!

— Owszem, teraz ja chcę, żeby pan ze mną poszedł!

— Ale ja w takich warunkach nie chodzę!..

— Pan naturalnie idzie do innej!?

— Nie.

Zasada przyczynowości, z której wynika idea zachowania energii, jest tak samo formą podmiotową nam właściwą logicznego pojmowania zjawisk świata, jak przestrzeń o trzech wymiarach formą ujęcia zmysłowego. Gdyby więc były możliwe istoty, któreby mogły ująć świat bezprzestrzeniowy, należy przypuszczać, że istoty te pojmowałyby go i bez przyczynowości, tj. zjawiska świata dla nich nie byłyby koniecznością powiązane. Gdyby znów inne jakieś wyobrażalne istoty ujmowały świat w przestrzeni o większej niż nasza ilości wymiarów, pojęcia ich o związku pomiędzy zjawiskami tego świata (tj. o ich przyczynowem następstwie) byłyby zapewne odpowiednio zmodyfikowane. Nie może być więc mowy o tem, ażeby zasada zachowania energii, wyprowadzona dla świata o trzech wymiarach, mogła mieć zastosowanie w jakimś innym świecie, również jak nie możemy wogóle mówić o ilości lub istnieniu jakichkolwiek wymiarów, niezależnych od istot te wymiary pojmujących. Niezgodność myśli, sprzeczności logiczne mogą się wynurzyć gdzieś na wyżynach abstrakcyi, w której staramy się przekroczyć granice zmysłowego ujęcia, a ze sprzecznościami temi rachuje się filozofia w teoryi poznania; ale w zakresie zjawisk dostępnych ujęciu, w dziedzinie faktów nie może być żadnej sprzeczności, gdyż jakkolwiek zmieniona jest rzeczywista postać świata w ujęciu naszem, wszystkie zmiany odbywają się według jednakowej modły. Gdyby tak nie było, niemożliwe byłyby nawet pierwsze kroki nietylko myśli naukowej, ale wprost logicznej. Tak gdy patrzymy przez szkło wklęsłe na rozmaite przedmioty, nie zmienia się ani względna ich wielkość, ani położenie, bo wszystkie wymiary są w tym samym stosunku zmniejszone. Nie może być przeto, abyśmy mogli dostrzedz ślad stopy, która byłaby sama dla nas niedostrzegalną, lub odczuli działanie siły, nieistniejącej dla naszego ujęcia.

Skądże pochodzi, że ludzie wielkiej nauki poddawali sumiennemu badaniu zjawiska tak sprzeczne z całym kierunkiem myśli metodycznej naukowej; że niektórzy z nich nawet dawali wiarę tym zjawiskom? Jest to niewątpliwie cechą wielkiej przedmiotowości, jeśli badacz poddaje analizie fakty, bez względu na to, że się wydają jako zupełnie nieprawdopodobne lub nawet sprzeczne z dotychczasowemi zdobyczami wiedzy. Istotnie zbyt śmiałem byłoby twierdzenie, iż coś jest niemożliwe dla tego jedynie, że niczego podobnego dotychczas nie spotkaliśmy; zbyt wielkiem byłoby zaufanie w nieomylności wiedzy, gdybyśmy odrzucali bez zbadania jakiś fakt dla tego jedynie, iż się nie zgadza z jej poglądami i teoryami. Wszelako przedmiotowość taka ma swoje granice, po za któremi zaczyna się chwiejność zasad naukowych. Są prawdy tak niewątpliwe dla każdego uczonego, pewniki tak trwałe, że wszelkie twierdzenia, zostające z niemi w sprzeczności, mogą być bez namysłu i bez zbadania odrzucone; tembardziej stosuje się to do faktów, które otoczone są całym aparatem szarlatanizmu. Umysł uczonego wyćwiczony jest w walce z trudnościami naukowemi, wprawny w wydzieraniu tajemnic przyrodzie; wprawa ta jednak nie przysposabia go bynajmniej do praktyczności życiowej; przeciwnie, najczęściej bywa, że im więcej się człowiek zagłębia w świat myśli i wiedzy, tem mniej staje się biegłym w sprawach życia potocznego. Wiedza przeto nie czyni człowieka wytrawniejszym w walce z oszustami. Nic więc dziwnego, że ludzie wielkiej nauki zostają przez nich pokonani, skoro już i samo poważne traktowanie faktów tej kategoryi świadczy o pewnej chwiejności zasad naukowych.

Wspominaliśmy o tem, że tłumienie popędów uczuciowości czasem dziwnie mści się na umyśle. Newton, który obok Kopernika najwięcej może przyczynił się do rozwoju oświaty, tj. rozumienia świata na racyonalizmie opartego, ostatnie lata swego życia strawił nad pisaniem komentarzy do Apokalipsy. Wiadomo, w jakie krańcowości popadł Paskal, umysł równie jasny, ścisły i wszechstronny w rzeczach wiedzy. Właśnie wszechstronność, stanowiąca cechę uczonych, powoduje, iż długie w jednym kierunku natężanie władz umysłowych wywołuje w końcu reakcyę — niebezpieczeństwo, niegrożące szperaczom faktów. Jest to więc rzeczą obojętną i przypadkową, czy ów smutny obłęd przybiera tę lub ową postać; czy występuje jako zagłębianie się w zagadki Apokalipsy, czy jako biczowanie się, czyli, jak u Zöllnera i Crookes'a, w postaci spirytyzmu. Nie możemy widzieć w tem nic innego, tylko zachwianie równowagi władz umysłowych, nadwyrężonych może nadmiarem pracy.

Powoływanie się na powagi naukowe może być co najwięcej przekonywającem wtedy, gdy mamy do czynienia z faktami, należącymi do zakresu fachowej wiedzy badacza; najlepszy matematyk może mieć sądy niższe od ludzi zwykłych w zakresie muzyki lub poezyi. Również świadectwo chemika lub matematyka w sprawach spirytyzmu nie może nikogo przekonać, chyba ludzi, którzy przywykli uchylać czoła przed każdem głośnem nazwiskiem. Wiara w powagi jest cechą owej epoki umysłowej, z którą walczyła oświata i największą właśnie zasługą tej ostatniej jest utrwalenie myśli ludzkiej w przekonaniu jej dojrzałości, w przeświadczeniu prawa swego do wolnego i niezależnego sądu o rzeczach *).

*) Nie możemy tu pominąć jednego objawu w naszej literaturze, który tem smutniejsze sprawia wrażenie, że występuje w piśmie naukowem i wygłoszone jest przez uczonego. W rozprawach p. Hoyera p. t. „Pogląd teoretyczny na przeciwgruźliczy środek Kocha,“ której znaczną część zajmuje apologia niemieckiego profesora, czytamy (str. 2, dopisek): Chętnie przyznaję, że przed autorytetem tak zasłużonego badacza schylam czoło. Przyzwyczaiłem się oddawna do szukania przyczyny początkowego niepowodzenia przy doświadczalnem sprawdzaniu spostrzeżeń znakomitych badaczów przedewszystkiem we własnej niezręczności i braku doświadczenia... Najznakomitsi badacze odznaczają się zwykle najwyższą skromnością i wstrzemięźliwością w wydawaniu ujemnego sądu o pracy zasłużonego męża nauki.“ Pozwolę sobie zapytać, czy ostrożność w sądach o badaniach innych powinna się stosować do prac „znakomitych“ i „zasłużonych mężów nauki“? Czy prace „nieznakomitych i niezasłużonych“ badaczy mogą być lekceważone już na podstawie „początkowego niepowodzenia“ przy ich sprawdzaniu? Prawda, że skromność zwykle towarzyszy wielkiej nauce, ale sama skromność, a tembardziej doprowadzona do zaparcia się własnego sądu wobec „autorytetu wielkich“ nie wystarcza jeszcze, aby kogoś uczynić znakomitym badaczem. Zbyt jeszcze jesteśmy przyzwyczajeni do korzenia się wobec „wielkich“ i do zarozumiałości względem „małych,“ ażeby potrzebne było wygłaszanie takich zasad, jak wyżej przytoczone. Wolelibyśmy usłyszeć od uczonych wręcz zdania przeciwne.

Lecz w tej chwili wydaje mi się, że dziwnie wyglądać muszę w oczach tej ladacznicy, staram się więc uratować przynajmniej pozory.

— Jak panience na imię? — pytam.

— Marya.

— Więc słuchaj, Maryo.

I zaczynam objaśniać jej moje zachowanie się. Czy istotnie wzięła mnie za takiego, co to wieczorami kręci się po ulicach i rabuje dziewczęta? Więc uważa mnie za takiego nikczemnika? Czyż powiedziałem jej co niegrzecznego? Czy tak postępuje, kto ma złe zamiary?.. Ot, przemówiłem do niej i poszedłem z nią kawałek drogi, bo chciałem widzieć, jak też ona sobie postąpi! Zresztą — nazywam się tak i tak, jestem pastorem!.. Dobranoc! A teraz idź i nie grzesz więcej!..

I oddalam się.

Zachwycony tym świetnym pomysłem, zacieram ręce i prowadzę z sobą głośną rozmowę. Jakaż to rozkosz chodzić po świecie i dobrze czynić! Słowem, upadłe to stworzenie podniosłem może, na drogę poprawy sprowadziłem! Uratowałem ją od wiecznej zatraty. I dziewczyna uzna to, przypomniawszy sobie kiedyś tę chwilę i nawet na śmiertelnem łożu z wdzięcznością wspominać mnie będzie. O, mimo wszystko, opłaca się być prawym i uczciwym!

Wpadam w promienny humor, czuję w sobie siłę i ochotę do wszystkiego. Mając świecę, skończyłbym z pewnością mój artykuł. Idę, nucąc i pogwizdując sobie, z nowym kluczem od bramy w ręce, idę i myślę nad sposobem dostania świecy. Nie ma innej rady: zniosę moje przybory do pisania na dół i siądę pod latarnią. Otwieram bramę i wchodzę na górę.

Zszedłszy, zamykam znowu bramę od ulicy i staję w świetle latarni. Wszędzie cisza... tylko z bocznej uliczki rozlega się odgłos ciężkich, brzęczących stąpań policyanta. W okolicy St. Haushaugen szczeka pies. Nic mi nie przeszkadza. Nasuwam kołnierz na uszy i ze wszystkich sił — myślę. Będzie to dla mnie ulga niemała, jeżeli małą tę rozprawkę szczęśliwie teraz zdołam ukończyć. Stanąłem właśnie na dosyć trudnym punkcie, z którego nieznacznie należało przejść do czego innego; potem nastąpić miał finał stłumiony, rozpływający się powoli w przestrzeń; tony jego brzmieć miały długo, długo, podnosić się coraz wyżej, wyżej, aż do kulminacyjnego punktu, do dźwięku tak ostrego, przejmującego, jak strzał albo echo kaskady. I na tem koniec!

Lecz brak mi słów. Odczytuję całość od początku do końca, każde zdanie wymawiam głośno, a jednak nie mogę wzbić się na ten ton najwyższy, któryby dźwiękiem odpowiadał hukowi. Ciągle jeszcze zajęty jestem tą myślą, kiedy nadchodzi policyant; staje nieopodal mnie i obecnością swoją niszczy cały mój nastrój. Bo i cóż to jego obchodzić może, że ja powoli staram się wznieść na jakiś kulminacyjny punkt w doskonałym artykule, który przygotowuję dla „Komandora“! Boże mój, żadną miarą nie zdołam utrzymać się na wyżynie, żadną miarą! Stoję tak z godzinę przynajmniej, policyant oddala się, zimno nie dało mu stać na miejscu spokojnie. Zrozpaczony, zniechęcony przez tę chybioną próbę, otwieram znowu bramę i wracam do siebie.

Zimno tu na górze, a wśród gęstego mroku nie odróżniam nawet okna. Omackiem dochodzę do łóżka, zdejmuję buty, rękami staram się ogrzać sobie nogi. Potem kładę się w ubraniu, jak to już oddawna zwykłem był czynić.

Zaledwie dnieje, podnoszę się na łóżku i znowu myślę nad moim artykułem. Siedzę tak do południa — składam dziesięć, może dwadzieścia wierszy; do końca jeszcze daleko.

Wstaję, kładę buty i zaczynam chodzić po pokoju, aby rozgrzać się trochę. Okna pokryte są szronem; wyglądam: śnieg pada; w podwórzu, na kamieniach i na studni leży gruba jego warstwa.

Krzątam się po pokoju, kręcę się apatycznie z kąta w kąt, skrobię palcami po murze, przykładam czoło ostrożnie do drzwi, pukam wskazującym palcem o podłogę i nadsłuchuję uważnie — bez celu, a jednak z namysłem, jak gdyby szło o coś ważnego. I jednocześnie powtarzam ciągle głośno, tak, że sam słowa te słyszę: „Ależ, dobry Boże, to przecież szaleństwo!“ Pomimo to dalej to samo wciąż czynię. Wreszcie po upływie paru godzin ze wszystkich sił staram się nad sobą zapanować, gryzę się w wargi, walczę jak mogę. To musi się skończyć! Biorę wiór i rezolutnie zabieram się znowu do pisania.

W imię więc oświaty, w obronie wielkich imion od rzucanych na nie potwarzy uważaliśmy za obowiązek wypowiedzieć te słów kilka, które nie wydają się nam zbytecznemi wobec łatwowierności i braku sądu krytycznego w szerszych kołach społeczeństwa, łatwowierności, którą podsyca i z której korzysta spekulacya wydawców.

W. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

E. Faguet, *Etudes littéraires sur le XIX siècle.*

Krytyka francuska większością swych przedstawicieli należy jeszcze do szkoły, utworzonej przez Taine'a. Jeżeli dzieła mistrza, usuwając indywidualizm artysty na drugi plan wobec wpływów otoczenia, mogły wywoływać reakcyę zadraśniętego „ja," to obecnie, gdy Hennequin, pozostając wciąż na gruncie nauki przedmiotowej, wysunął, jako główny czynnik postępu literackiego, ten właśnie indywidualizm, o tyle już wrzekomo rozwinięty, iż stał się niezależnym od warunków zewnętrznych, można byłoby sądzić, iż krytyce subjektywnej pozostaje tylko chować ostatnie swe trupy. A jednak tak nie jest: wraz z powrotem do religijności i spirytualizmu, który daje się teraz czuć we Francyi, zaczęto i na polu krytyki literackiej odgrzebywać stare hasła i stawać w obronie zagrożonego „ducha." Na czoło krucyaty wystąpił prof. literatury w Sorbonie, Faguet. Niedawno okazaliśmy całą wsteczność jego poglądów społecznych i politycznych na „Studyach lit. XVIII w." Przechodząc dziś do jego krytyki kilku wybitnych przedstawicieli XIX w., zauważymy, iż nosi ona głębokie ślady wpływu kierunku analitycznego i ujawnia w ten sposób całą jego żywotność. Po większej części jest to badanie psychologiczne związku między pisarzem i jego dziełami. Krytyka społeczna mało zajmuje tu miejsca, przejawiając się tylko od czasu do czasu nabożnem westchnieniem do dawnych, dobrych czasów. Dla zapoznania czytelników z Faguetem, przedstawimy tu poglądy jego, często oryginalne — na W. Hugo, T. Gautiera i Balzaca. W. Hugo jest charakterem najpospolitszym. Próżność niezmierna, ale próżność pawia. Nie jest to ponura duma Chateaubrianda lub Byrona, ani kokieterya zepsutego dziecka, jaką znajdujemy u Lamartine'a, ale raczej panoszenie się bogatego mieszczanina. Napawa się on admiracyą ku samemu sobie: jest — to Atlasem, to znowu Montblanc'em. Stąd wypływa zupełny brak poczucia śmieszności, na którą się wystawia. Parodyowano go tysiąc razy, co doprowadzało go do obłędu, ale nie uchroniło od ponownego wystawiania się na pośmiewisko. Jest ideałem pedanta. Ta dusza dość ordynarna, przesiedlona w wielki geniusz, czyni wrażenie człowieka z pospólstwa na wysokim urzędzie, który wykazuje na każdym kroku wady parweniusza. Przejawia się to w całej jego psychologii. Pedanci nie mają dowcipu. Hugo zupełnie pozbawiony był tej „wesołości umysłu," jaką znajdujemy u Heinego, Moliera lub Voltaire'a, zdobywa się tylko na wybryki wyobraźni—w rodzaju paradoksu, parodyi, gry słów, bufonady i kalemburu, ale i tych środków pospolitego dowcipu nadużywał. Jego uczuciowość jest zwykle nienaturalna. Z powodu śmierci córki udało mu się kilka „emocyj ogniska domowego"; później zamienił je więc na „fortele pracowni." Te świętości serca są dobre, gdy szczere; opracowywane zaś w pocie czoła wraz z krnąbrnymi rymami, tracą swą wstydliwość. Trzeba tu wiele skrupułów i powściągliwości: wstrętnym się staje artysta, który, wiedząc, iż „ma powodzenie w sentymentach," robi sobie z nich manierę i rodzaj. „Pauca meae" w masie innych dzieł byłyby imponujące, ale Hugo zbyt często powracał do tych przedmiotów, zbyt często robił wystawę ze swego „ogniska." Potrzeba tu delikatności, której mu brakło. Ileż to u niego fałszywej czułości, ile wysiłków szczebiotania *a la bébé* pod pretekstem naiwnych wylewów!

Zobaczmy teraz, jaki myśliciel i artysta krył się w tym pospolitym mieszczaninie. Idei własnej nie miał przez całe życie ani jednej, z cudzych zaś brał tylko najbardziej oklepane. Ale najpocieszniejsze to, że wciąż o myśleniu gada, zawsze egzaltując „myślicieli," „wielkie duchy" i „prawdy wzniosłe." O nauce nie miał najmniejszego pojęcia: jego psychologia jest zadziwiająco pierwotna, względem Darwina zadawala się wulgarnymi żartami, a historyę traktuje, jak konował. Byłoby banalnością powiedzieć, iż jest słabym moralistą i że wcale nie zna człowieka. To też bohaterzy jego dramatów i romansów nie żyją, nie mają nic konkretnego, są tylko heroldami jego dźwięcznej muzy. Powróćmy wszakże do „idei" Wiktora Hugo. Oto kilka główniejszych, które wciąż opracowywał: Bawimy się, a tu śmierć nadchodzi. Trzeba być miłosiernym, aby zyskać niebo. Szczęście dziewcząt polega na cnocie. Miłość ma tylko krótkie chwile, ale pozostawia przyjemne wspomnienie. Wszyscy ludzie są śmiertelni. Cuda świata dowodzą istnienia Boga. Ziemia jest matką dobroczynną ludzi — itd. Wszystko w tym guście. Jego historya sprowadza się do walki ludów cnotliwych z bezbożnymi królami. Przekonania polityczne W. Hugo były wciąż odbiciem idei panujących w burżuazyi, ale wciąż spóźnionem o kilka lat, a wraz z tem zmieniały się i jego poglądy literackie. Sztuka była dlań naprzód wyrażeniem królestwa i chrześciaństwa, potem liberalizmu i nareszcie demokracyi. W filozofii zlepił sobie nader zaczątkową metafizykę, która składa się z wiary w Boga osobistego, nagradzającego i mściwego, w wolną wolę, nieokreślony postęp moralny i w przemianę dobrych dusz na lepsze i złych na gorsze. Albo też dowodzi, iż ziemia jest większa od człowieka, słońce większe, niż ziemia, gwiazdy — niż słońce, nieskończoność — niż wszystko, a Bóg większy od nieskończoności. Taka jego kosmologia. Jest to stanowczo najbezmyślniejszy z większych pisarzy XIX stulecia, ale jego próżność prowadziła go do tego, aby mieć o poecie zupełnie inny, niezgodny z nim samym ideał. Opiewał przez całe życie, iż poeta jest apostołem, Orfeuszem, pasterzem dusz, „pochodnią." Powinien mieć wszystkie idee, skupiać w sobie wszystkie siły cywilizacyi, oświecać i polepszać świat. Była to „idée fixe" W. Hugo. Ponieważ wszakże miał głowę zupełnie pustą, więc brał wciąż

Z wielkim trudem udaje mi się sklecić parę zdań krótkich, może ze dwadzieścia marnych słów, które układam z trudnością, aby tylko zajść dalej. Więcej — ani rusz: w głowie próżnia, nic robić nie mogę. Wytrzeszczam oczy na ostatnie, niedokończone arkusze, przyglądam się tym dziwnym, drżącym literom, które wyprężają się na papierze, niby małe, włosiste zwierzątka. W końcu nic z tego wszystkiego nie pojmuję... nie myślę.

Czas mija. Słyszę ruch na podwórzu: turkot kół, stąpanie koni; ze stajni dobiega mnie głos Jensa Olafa, nawołującego konie. Jestem wycieńczony, od czasu do czasu cmokam wargami — zresztą nic nie robię. Piersi moje w dziwnym znajdują się stanie.

Mrok zapada: coraz bardziej tracę siły, nareszcie zmęczony kładę się do łóżka. Ażeby ogrzać sobie ręce, wgłębiam palce we włosy, przeczesuję je to w jedną, to w drugą stronę, na prawo i na lewo; wyrywam sobie przytem luźne pęki włosów, które zostają mi między palcami lub też rozsypują się na poduszce. W tej chwili nie myślę o włosach: nie mnie to nie obchodzi — mam ich jeszcze dosyć. I znowu pragnę otrząsnąć się z tej dziwnej apatyi, która, niby mgłą, członki moje opasuje: wstaję, dłonią biję się po kolanie, kaszlę ze wszystkich sił słabej mojej piersi — i znowu opadam na poduszkę. Nic mi nie pomaga, umieram — bez ratunku, z otwartemi oczami, ze spojrzeniem nieruchomie do góry zwróconem. W końcu kładę palec wskazujący do ust i zaczynam ssać. W mózgu mym coś się porusza... to myśl, która chce się wydostać na zewnątrz! Pomysł szalony! Gdyby tak ugryźć!.. I bez namysłu zamykam oczy i zaciskam zęby.

Zrywam się na równe nogi — zbudziłem się nareszcie. Z palca sączy się trochę krwi, którą zbieram językiem. Niebardzo boli; rana niewielka, lecz ból wrócił mi przytomność; wstrząsam głową i przybliżam się do okna: tu leży płateczek — owijam nim rankę. W czasie tego oczy zachodzą mi łzami, popłakuję sobie zcicha... Chudy, pogryziony palec tak nędznie wygląda! Boże mój, co się ze mnie zrobiło!

Mrok zapada coraz większy. Mając świecę, napisałbym może koniec artykułu w ciągu wieczoru. Umysł mój znowu był jasny, myśli powstają i usypiają jak zwykle, niebardzo cierpię, nawet głód nie tak silnie, jak przed paru godzinami, daje mi się we znaki; aż do dnia następnego wytrzymam jeszcze. Może tymczasem dadzą mi świecę na kredyt — pójdę do sklepu kolonialnego, przedstawię moje położenie. Znają mnie tam dobrze — za lepszych czasów, kiedy miałem jeszcze pieniądze, kupowałem tam nieraz niejeden chlebek. Bezwątpienia zaufają mi świecę... I po raz pierwszy, oddawna, czyszczę ubranie, usuwam wypadłe włosy z kołnierza od surduta, o ile to po ciemku daje się uskutecznić i omackiem zesuwam się po schodach.

Na ulicy przychodzi mi na myśl, że przecież lepiej byłoby zażądać chleba. Zaczynam się wahać, staję i rozważam. W żadnym razie! — decyduję w końcu. Niestety, nie znoszę już jadła — powtórzyłyby się te same historye, wizye, przeczucia, szalone pomysły; artykułu nie ukończę, a należy przecież stawić się u „Komandora," zanim ten o mnie zapomni. W żadnym razie! Decyduję się więc na świecę i wchodzę do sklepu.

Przy stole stoi jakaś pani, czyniąca zakupy; przy niej leży kilka małych paczek, zawiniętych w różne papiery. Subjekt, który mnie zna i wie, co zazwyczaj kupuję, przerywa usługę dla pani, milcząc, zawija mi chleb w papier i podsuwa go.

— Nie, dzisiaj chciałem właściwie prosić o świecę! — rzeknę.

Mówię to głosem bardzo cichym, nieśmiałym, ażeby go tylko nie rozgniewać i tem samem widoków moich na świecę nie rozwiać.

Odpowiedź moja wprawia go w zamieszanie; słowa te oczywiście w głowie jego tworzą zamęt: po raz pierwszy żądam co innego, niż chleb!

— W takim razie musi pan jeszcze chwileczkę poczekać — powiada w końcu, zwracając się znowu do pani.

Ta odbiera swoje pakunki, płaci, daje papierek pięciokoronowy, z którego subjekt wydaje jej resztę i oddala się.

Zostaję sam z kupczykiem.

(D. c. n.).

i to powierzchownie idee otoczenia, odbijając tylko myśli pokoleń, przez które przechodził, nie zgłębiając żadnej i nie czyniąc ich swemi pracą skupienia i rozpamiętywania. Oczekujemy zawsze coś głębokiego z obietnic, czynionych wielkim głosem, a znajdujemy wciąż jakąś banalność: nieczystością tonu, miarą proroczą łudził tylko naiwnych. Zresztą sam sobie wytłomaczył, iż jest myślicielem, jakkolwiek idee jego są nietylko oklepanymi, ale zarazem pustymi dźwiękami. Lubi mianowicie gromadzić *tytuły* idei. Woła np. na każdym kroku: *Liberté! Justice! Humanité! Progrès!*, nie mówiąc nigdy, co pod tem rozumie. Albo też wyrzuca z siebie jednym tchem taką litanię: *Justice*, *Amour*, *Foi*, *Raison*, *Beaute*, *Ideal*, *Liberté*, *Droit*, jak gdyby nikt nigdy nie kwestyonował zgodności postawionych obok siebie *Foi* i *Raison* lub *Justice* i *Droit*. Dodajmy jeszcze następujące wykrzykniki: *Avenir*, *Vertu*, *Science*, *Religion*, *Verite*, *Grand*, *Bon*, *Paix*, *Civilisation*, *Ordre vrai* — a otrzymamy ten gromki huk filozoficzny, za pomocą którego W. Hugo tanim kosztem wykręca się od obowiązku podania tak wychwalanych idej. Ale i pod tym zresztą względem odbijał on tylko frazeologię mieszczańską ze środka bieżącego stulecia. Za to banalność swych myśli umie on zawsze odziać w formę wspaniałą, dzięki pierwszorzędnej wyobraźni i mistrzowskiemu stylowi. Nie może nadać życia swym bohaterom, gdyż posiada zbyt mało myśli i uczucia, ale te, które posiada, wystarczają, aby mógł ożywić jakąś katedrę, ulicę lub bitwę. Główna jego zdolność polega na umiejętności pochwycenia koloru miejscowego i duszy rzeczy. Dlatego też jest dramaturgiem bardzo słabym, powieściopisarzem o tyle, iż umie wskrzesić epokę, nigdy zaś — odtworzyć duszę ludzką; lirykiem zaś o tyle, o ile wyraża myśli najpospolitsze: ojczyzna, religia, wolność, honor, sława lub uczucia pierwotne: gniew, miłość, boleść.

Takie jest w ogólnych rysach zdanie Fagueta o W. Hugo. Czytelnik zadziwi się pewno, usłyszawszy, iż obdarza on po tem wszystkiem swą ofiarę tytułem geniusza i to geniusza pierwszorzędnego. Tak jest. Hugo nie miał idei? To i cóż z tego — powiada Faguet — Homer także ich nie miał. Nie będziemy nawet zbijali tak bezmyślnego poglądu, tem bardziej, iż subjektywny nasz krytyk sam go obalił, rozbierając Teofila Gautiera i że objaśnia się on francuską próżnością. Człowiek pozbawiony idei, uczuć, wyobraźni, nielubiący przytem banalności, wdaje się w pisanie i pisze przez całe życie — co nie jest rzadkie — ale ma powodzenie: jest to rzecz nadzwyczajna i raz tylko wydarzyła się w literaturze. Taki był wypadek z T. Gautierem. Wstąpił do piśmiennictwa, nie mając literalnie nic do powiedzenia. Było to zero, niemające ani jednej myśli. Jego idee historyczne, filozoficzne lub moralne? Nie mówmy lepiej o nich. „Ostatecznie — powiada Faguet — nie są konieczne, aby wydać poetę drugiego rzędu i to nawet przyjemnego.“ Ale nawet idei psychologicznych, jakiejkolwiek znajomości duszy ludzkiej — ani za grosz. Bohaterowie jego romansów nie posiadają w sobie stanowczo nic, coby miało jakieś podobieństwo do charakteru. A gdy stara się im go nadać, to jeszcze gorzej: jest niezrozumiały. Sainte-Beuve, aby się przypodobać Gautierowi, szuka w takich razach transformacyi *Renego*. Zawsze, gdy jakiś krytyk francuski zrozpaczył, aby mógł coś zrozumieć w pewnym charakterze, znajduje odmianę Rénégo. Uczuciowość Gautiera nie była wcale bogatsza: nie spotkacie w jego dziełach nawet miłości. Zimne uwielbienie piękna — oto wszystko. Prędzej już chwytał strach śmierci. Znajdujemy znaczną dozę poezyi średnich wieków w tym spazmie ciała, które się trzęsie w przeczuciu chłodu mogiły. Nie jest to natchnienie wzniosłe: raczej wrażenie fizyczne, niż co innego. Ale ostatecznie jest to wrażenie. Nie posiadał też Gautier więcej imaginacyi, niż uczuciowości. Nawet na najlichszy jej wysiłek, na awanturę dobrze obmyślaną nie mógł się zdobyć. Wychodzi zwykle w swych romansach z niczego i przychodzi do niczego, a po drodze nie macie nic: ani myśli, ani uczucia, ani zainteresowania, ani nawet ciekawości — nic, oprócz opisów i bogatego stylu, którym autor kapryśnie kręci koło niczego. Wszędzie banalność pomysłu pod cennością formy. Toż samo powiedzieć można i o jego poezyach: jak tylko pisze więcej, niż dwie stronice, jest śmiertelnie nudny. Słowa, bardzo ładne słowa. Czy miał przynajmniej łatwość pisania? Tak, ale dla honoru jego trzeba przyznać, iż sobie jej odmówił. Nienawidził banalności. A ponieważ nic oryginalnego nie przedstawił, więc zwrócił się do ekscentryczności. Właściwie mówiąc, chybił zadania: był z natury malarzem. Miał wszystkie warunki po temu: miłość konturów, barw i kontrastów potężnych; pogardę idei abstrakcyjnych i uczuć głębokich. Należał do tych, dla których materyał jest wszystkiem, dusza nie istnieje. Wniósł do literatury wstręt do wszystkiego, co właściwie literaturę stanowi, udoskonalił natomiast jeden jej gatunek, nadawszy niesłychaną plastykę opisom. Porzucił od r. 1830 powieści i poezyę filozoficzną, która odznaczała się u niego godną uwagi bezmyślnością i oddał się wyłącznie temu kierunkowi. Wykreślcie tylko jeszcze kilka medytacyi, które sądził, że mu jego godność poety byronistycznego narzucała, a otrzymacie wszystko rzeczy doskonałe w swym rodzaju, szczególnie w zbiorku, „Emaux et camées.“ Nie znajdziecie już tu nic ani dla serca, ani dla umysłu, tylko formy dobrze spostrzeżone i dobrze namalowane. Rozporządzał wszystkiemi środkami języka. Miał wprawdzie afektacyę mówienia w romansach stylem traktatów architektury; mawiał często ze śmiechem: „Trzeba żeby na każdej stronicy był z tuzin wyrazów, których burżua nie rozumie. To podnosi dlań smak kąska.“ Wogóle jednak należał pod względem formy do mistrzów. To też rafinerzy języka szaleją za nim, a także artyści. Ludzie kochający idee żywią dlań prawie nienawiść. Powinniby mu jednak przyznać dar malowania piórem i chybione powołanie. „Zginie prawdopodobnie cały — kończy Faguet swe studyum — odpowiada jeszcze tylko manii, a jeżeli chcecie, gustowi do *bibelot'u*. Za jakie 50 lat nie będzie już czytany, ale znajdzie się tu i owdzie zbieracz dobrego smaku, który będzie miał Gautiera w ładnej oprawie między rzadką emalią i autentycznym Wouwermanem i który go otworzy czasem z przyjemnością.“

Przejdźmy do Balzaca. Był to zadziwiający kaprys natury, gdy połączyła pewnego poranku temperament artysty z umysłem komiwojażera. Balzac był brutalny i subtelny, pełen głupich przesądów i zarazem nieskończenie głęboki. Jego płaskość oszołamia, a także jego wyobraźnia. Miewa intuicye geniusza i refleksye bydlęcia. Brak mu zupełnie dowcipu: jego żarty są tłusto i ciężkie; jego paryżanie mają miny woźniców, a „grand monde“ przypomina towarzystwo pokojówek i służących. Filozofia Balzaca jest także nicociosana. Człowiek jest zwierzęciem, mającem tylko popędy, pożądania i interesy. Potrzeba rządu i religii tyranicznej, aby go utrzymać w cuglach. Zauważcie przytem, iż Balzac jest spirytualistą: dusza istnieje — jest to ciecz; wola istnieje — jest to rodzaj elektryczności. Spirytualizm weterynarza! Taki jest myśliciel. Gdy poeta się budzi, egzaltowana wyobraźnia zastępuje bezsilność myśli. Rzeczywiście, tkwił w nim artysta. Poczuciem życia i zdolnością tworzenia jego złudzeń rzadko kto go przewyższył. Istoty logiczne, prawdopodobne i zupełne wychodzą z jego mózgu i kroczą przed naszemi oczami. Posiadał wszakże jeszcze więcej: dar wskrzeszania grup ludzkich, prawie uorganizowanych społeczeństw. Stworzył nowy świat. I można byłoby go postawić na czele powieściopisarzy francuskich, gdyby wady nie rujnowały tych wspaniałych zalet. Ponieważ przy całym owym geniuszu był mało reflexyjny, powiedzmy otwarcie, trochę głupi, więc nie miał ani cienia zmysłu krytycznego, który jest niezbędny dla artysty, aby mógł sobie zdać sprawę ze swych zdolności i nie przekroczyć ich granic. Szedł, przeciwnie, za przypadkiem projektów i pomysłów. Nie miał najmniejszego uczucia, nie posiadał dowcipu, a chciał koniecznie przedstawiać „conversation parisienne.“ Był realistą nieporównanym, a rzucał się na pomysły czysto romantyczne, gdzie potrzeba lekkości wyobraźni i werwy, których nie posiadał. Z tego pochodzi różnobarwność, doprowadzająca do rozpaczy często w tym samym utworze. Bywa czysto romantyczny, elegijny i mistyczny, ale to w najgorszem znaczeniu tych wyrazów, na wzór E. Sue i Soulié'go. Było to zresztą przystosowanie się do wymagań czasu, a po części i skutkiem zarozumiałości, która chce pokazać, iż wszystko potrafi. „On fait des monstres, faisons des monstres.“ Jego opłakany gust do robienia portretów wielkich dam pochodzi z pretensyonalnej wulgarności (nie ma komiwojażera, któryby nie był przekonany, iż zrobił silne wrażenie na księżniczce) a także z troski podążania za ogólnym prądem wieku. Są pisarze delikatni i dystyngowani, bądźmy więc dystyngowani i delikatni. Często też daje dusze „elity.“ Słowem on, geniusz, naśladował całą ohydną literaturę z 1820 r. W istocie talent jego polegał na namiętnem spostrzeganiu prawdy. Nikt lepiej odeń nie chwytał fizyognomii otoczenia i ludzi, ale tych, co widział i śród których żył, tj. średniej, drobnej burżuazyi — po części i bogatej. Pod tym względem dał nam szereg obrazów mistrzowskich. Ale i tu często nie umie utrzymać miary i realizm wyradza się w płaską przesadę brutalności. We Francyi realizm zwykle skłania się ku sarkazmowi. Flaubert np. maluje niższe klasy z istotnem szaleństwem ironii, jakby trącając nas na każdym kroku łokciem, aby powiedzieć: „Jacy oni śmieszni!“ Balzac zrozumiał, iż w drobnem tem życiu może się zawierać wiele tragizmu, ale znowu zbyt się w tę stronę przechylił. Lubił widzieć wszystko w czarnych kolorach: wypadki i ludzi. To też widma przechadzają się po jego dziełach obok osób żywych. To doprowadza go go szkodliwej jednostronności: człowiek jest to namiętność, mająca na posługach inteligencyę i organy a znajdująca przeszkody w warunkach. Ot i wszystko. Jego bohaterowie znajdują się zawsze pod wpływem jednej, jedynej namiętności. Daje nam tylko maniaków rozmaitych cnót, częściej wad i występków. „Il n'y a que Gautier, Hugo et moi qui sachions la langue“ — mawiał Balzac. W tej liście jedno imię jest zbyteczne, a mianowicie: Balzaca. Kompozycya słaba, styl opłakany. Pisze naturalnie tylko wówczas, gdy nie myśli o Akademii.

Nie będziemy się zastanawiali nad krytyką Chateaubrianda, G. Sanda, Musseta, Lamartine'a i in., gdyż Faguet nic wypowiada tu nic nowego, prowadzi ją wszakże w ten sam sposób, jakby to czynił Taine lub Bourget. Jest to rozbiór czysto psychologiczny. Faguet zastanawia się nad uczuciowością, wyobraźnią i umysłowością każdego autora i wynikami tej analizy stara się objaśnić zalety i wady dzieł. Brak tu jeszcze tylko zestawienia autorów i dzieł z warunkami historycznymi i społecznymi, aby krytykę tę można było nazwać naukową. Subjektywne wycieczki spotykają się rzadko. Okazuje to, iż autor silnie, choć nieświadomie, ulega szkole, z którą walczy i najlepiej świadczy o jej żywotności.

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

Eugeniusz Wolff o współczesnym i przyszłym dramacie niemieckim.

Współczesny dramat niemiecki, na którego niwie porasta owoc obfity, ale skarłowaciały, doczekał się krytyki niejednostronnej a namiętnej, zdolnej rozjaśnić pojęcia nietylko w szerszej publiczności, ale w kołach samych dramaturgów. Eugeniusz Wolff, który podjął tę krytykę w pierwszym zeszycie swych „Schriften für Litteratur und Kunst," przykłada do dzisiejszego dramatu niemieckiego miarę wyższej sztuki i daremnie ogląda się po całym obszarze literackiej i scenicznej produkcyi za utworem, któryby odpowiadał tym wymaganiom. Według niego wszystkie niemal dramaty, które pojawiły się od czasów Goethego i Schillera, mają charakter chorobliwy; dramat niemiecki nie będzie miał przyszłości wielkiej, jeżeli nie pozbędzie się tych cech.

Wolff stwierdza, że w teatrze niemieckim przeważają dziś autorowie obcy, francuscy i norwescy. Za głównych przedstawicieli tej literatury zagranicznej uważa on Sardou i Ibsena, których wpływ rozbiera. Obaj czerpią treść z życia współczesnego i szukają motywów w dzisiejszych stosunkach społecznych. Lecz Sardou, u którego wiecznie powtarzają się te same kolizye, zdaniem Wolffa, stoi bez porównania niżej od Ibsena. Lecz i ten dotknięty jest „filozoficzną i poetyczną chorobą czasu, szarym pesymizmem." Nie bez racyi zarzuca mu Wolff pewną połowiczność. Uwaga ta nie odnosi się do rysunku charakterów, ale do sposobu rozstrzygania zagadnień. „Tu natura nagle kostnieje w tendencyę, postacie pełne życia przemieniają się na idee, stają się tubami, przez które przemawia poeta." Ibsen nie rozwiązuje dramatów swych tak, jakby je rozwiązać musiało życie; nie są to zakończenia artystyczne, lecz sztuczne; zamiast grozy prawdziwie tragicznej, widzimy tchórzliwą jakąś, konwencyonalną łagodność.

Przechodząc do pisarzów niemieckich, sądzi Wolff, że sztuki Lindaua, Blumenthala i Lublinera nie zasługują na rozbiór, gdyż autorowie ci, podpatrzywszy nieco ton i technikę francuzów, chwytają się zagadnień współczesnych na to tylko, aby je zbyć w sposób powierzchowny. Poważniejsza jest tendencya Ryszarda Vossa, lecz i on nie umie przedstawiać ludzi prawdziwych. Podobnie „Honor" Sudermanna, zdaniem Wolffa, nie jest dramatem wyższej wartości artystycznej, jeno zbiorem pustych deklamacyj i typów odświeżonych. Największą nadzieję pokłada krytyk w Gerhardzie Hauptmannie, który może zostać dramatopisarzem z cechami prawdziwego poety, jeżeli wyzwoli się z jednostronności społecznej i estetycznej. Wildenbruchowi nie odmawia Wolff pewnej samoistności w wyborze tematów, które on czerpie zazwyczaj z historyi niemieckiej; lecz twierdzi, że i jemu brak prawdziwej wielkości tragicznej. Wildenbruch nastraja tylko scenerye zgodnie z tematem i naśladuje zewnętrzne cechy stylu dramatycznego, jądro akcyi zaś jest bezbarwne i bezsilne.

Według Wolffa w tem więc głównie tkwi jałowość współczesnego dramatu niemieckiego, że autorowie rozmyślnie unikają zakończeń tragicznych, które koniecznie wypływają z założenia i które nadają utworom wielkość i siłę. Potępia on dzisiejsze sztuki, chwiejące się między tragedyą a komedyą, niezdolne poruszyć widza do głębi, pozbawione wyraźnego stylu. Jeżeli tematy dramatyczne, zaczerpnięte z życia obecnego, nie nadają się do tragedyi wyższego rzędu, w takim razie można je opracowywać w sposób lekki i wesoły. Te same założenia, z których dzisiejsi pisarze wysnuwają swe bezbarwne, napół poważne, napół zabawne sztuki, Boccaccio i Shakespeare traktowali w sposób dowcipny, humorystyczny, trzymając się wyłącznie ram komedyi. Treść „Złośnicy" Shakespearowskiej nowoczesnemu naturaliście posłużyłaby niezawodnie za wątek do dramatu: zapewne mąż, zgnębiony kłótliwością żony, zaniedbywałby dom, przesiadywałby w kawiarniach lub oddałby się pijaństwu. Autorom współczesnym brak prawdziwego, zdrowego humoru, którego odzyskanie Wolff uważa za jeden z niezbędnych warunków odrodzenia dramatu niemieckiego. Zaleca on im studyowanie komedyj angielskich z XVII i XVIII stulecia.

Jeżeli powstać ma tragedya współczesna z cechami prawdziwych dzieł sztuki, w takim razie dramatopisarze wstąpić muszą na inną, niż dotychczas drogę. W utworach dzisiejszych występuje „towarzystwo," nie lud, wyszukana jakaś kwestya, ale nie walka głęboka. Zamiast tych kwestyj i tez, których oryginalnością i paradoksalnością jeden autor drugiego chce prześcignąć, a które nigdy niemal nie znajdują w dramacie zadawalającego rozwiązania, należałoby wprowadzić podstawowe starcia życiowe, powstające nietylko na wyżynach „towarzystwa," ale we wszystkich warstwach społecznych. Jeżeli zaś udział publiczności ma być wyższy, trzeba niezbędnie wszczepić kroplę wielkości w żyły bohatera. Przedewszystkiem zaś pozbyć się strachu przed grozą życia, odzwierciedloną w grozie tragedyi. Przedmiotem sztuki jest życie; nigdy utwór nie osiągnie wrażenia istotnego, skoro poprzestanie na kazaniu, na morale. Dramat musi widza wzburzyć i porwać. Po sztukach dzisiejszych wszyscy spierają się o racyonalność lub nieracyonalność rozwiązania. Jest to najlepszym dowodem bezsilności dramatopisarstwa współczesnego, żadna bowiem ze sztuk tych nie przekonywa, nie neutralizuje krytycyzmu potęgą wewnętrznej konieczności. Poeta dramatyczny wówczas dopiero osiąga swój cel, kiedy nawet widz światły i krytyczny nie rozbiera, nie myśli, ale czuje.

Ladawa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z DZIEDZINY SZKÓŁ.

Zasada obowiązkowej a bezpłatnej oświaty początkowej doprowadza z biegiem czasu do dalszych wniosków. Zniosła te przeszkody, jakie wynikłyby z niezamożności rodziców, gdyby trzeba było uiszczać opłatę. Lecz czy dziecko głodne może cokolwiek odnieść z nauki? Czy rodzice niezamożni zdołają kupować książki potrzebne i materyały? Nie będziemy wyliczali, a tem bardziej rozpatrywali wszystkich tego rodzaju pytań, ani też sposobów, jak je tu i owdzie wcielono częściowo w życie. Zajmiemy się, korzystając z niewielkiej pracy J. Müllera, tylko sprawą materyałów szkolnych. W Europie Szwajcarya przoduje w tej mierze. Ustawa szkolna jest tutaj najbardziej posunięta i względnie nader szczodra. Autor też głównie rozpatruje stosunki tej krainy.

Z bezpłatnością środków szkolnych znajdują się w pewnym związku upaństwowienie ich sprzedaży. Wiadomo, jaką rolę pasorzytniczą odgrywa pośrednictwo handlowe we wszelkiej dziedzinie życia. Nie inaczej bywa przy sprzedaży książek. Muller oblicza, iż dzięki pośrednikom cena papieru i wogóle materyałów piśmiennych podnosi się o 300%. Mniej więcej to samo ma miejsce w zakresie innych środków szkolnych. Władza publiczna, zastępując tego pasorzyta i biorąc w swe ręce sprzedaż książek, papieru, piór itd., odrazu znacznie zmniejsza wydatki rodziców na kształcenie dzieci. W Szwajcaryi pobudkę ku temu dał kanton Zürich jeszcze w r. 1850, kiedy na zjeździe synodów szkolnych w Küsnacht postanowiono zwrócić się do głównej rady wychowawczej, aby wzięła w swe ręce pośrednictwo handlowe odpowiednich materyałów. Rada wtedy wyłoniła kilka osób do zbadania sprawy. Okazało się, że władza, biorąc na siebie sprzedaż środków szkolnych, zniży co najmniej o 58% ceny dotychczasowe. Zwolna też zaczęto wypierać pośredników. W r. 1885 sprzedano środków szkolnych tą drogą za 58 tysięcy franków i mimo nizkiej ceny otrzymano czystego zysku jeszcze około 18%! W innych kantonach zasada ta została urzeczywistniona w stopniu daleko mniejszym, nadwyrężała ona bowiem zbyt dotkliwie interesy pewnej części świata kupieckiego, a nadto stanowiła surową a jaskrawą krytykę zwykłego pośrednictwa. Znalazła z tego powodu licznych wrogów, którzy wystąpili z oporem stanowczym. Widzimy wszakże początki takiego publicznego unarodowionego pośrednictwa w kantonach Appenzell, Freiburg, Thurgau. Naturalnie tam, gdzie wprowadzono bezpłatność środków szkolnych, podobny zakup odpowiednich materyałów z pierwszej ręki przez władzę publiczną jest nieodzowną koniecznością. Powyższe przeto kantony należą do liczby tych, gdzie rodzicom pozostawiono ponoszenie kosztów zaopatrywania dzieci w potrzebne książki i materyały. Przechodzimy zatem do zdania sprawy z tego, co zrobiono w tej mierze.

Początek dał kanton Glarus w r. 1885. Ustawa z tego roku mówi, iż każda gmina winna łożyć na środki szkolne, władze zaś kantonalne zobowiązały się do powracania gminom $^{3}/_{4}$ z uczynionych wydatków. W następnym roku za tym przykładem poszedł kanton genewski, w 1887 soluthurneński, następnie wcielono w mniejszym lub większym stopniu tę zasadę w 10 innych kantonach. Rozejrzymy się w pojedynczych wypadkach. W kantonie soluthurneńskim każde dziecko, przechodząc do wyższej klasy, otrzymuje bezpłatnie zupełnie nową mapę Szwajcaryi oraz podręczniki i śpiewniki, a nadto corocznie jedną tabliczkę szyfrową. W pierwszym i drugim roku szkolnym wydatek roczny na dziecko wynosi po 1,40 franków, w trzecim i czwartym 3,99, wreszcie w trzech dalszych 5,73. Tymczasem przy dawnym porządku rzeczy wypadałoby na dziecko w wyższych latach po 9,35 fr., jakkolwiek posiadało ono środki szkolne mniej liczne i w gorszym stanie. W kantonie bazylejskim ustawa szkolna brzmi najszczodrzej (mówimy o mieście). Bezpłatność środków szkolnych obejmuje tutaj niższe gimnazyum oraz niższe szkoły realną i żeńską, wtórne męzką i żeńską, początkowe męzkie i żeńskie. Wydatki roczne wynoszą 33 tysiące franków, co stanowi nadzwyczaj małą sumę w porównaniu z liczbą uczącej się dziatwy—blizko jedenaście tysięcy. W kantonie zurychskim w r. 1888 poddano sprawę bezpłatności pod głosowanie powszechne, które odrzuciło zasadę tę w zakresie szkół początkowych nieznaczną wielkością głosów, ale uchwaliło ją dla wtórnych. Lecz to nie powstrzymało odpowiedniego prądu. Gminy jedna przed drugą zaczęły bezpłatność wprowadzać u siebie. Obecnie (w 1889/90 roku szkolnym) wcieloną została ona w 280 szkołach; jedne dają wszystkie środki i materyały, inne tylko niektóre, inne znowu tylko niezamożnym uczniom. Zatrzymamy się jeszcze nad kantonem neuenburskim, mianowicie nad brzmieniem tamtejszej ustawy szkolnej. Paragraf pierwszy głosi, że „państwo dostarcza gminom materyałów szkolnych pod warunkiem, iż one będą wydzielały je bezpłatnie publicznym szkółkom elementarnym. Gminy są zobowiązane do zwracania jednej piątej

uczynionych w tej mierze wydatków." Paragraf drugi określa, iż do owych materyałów zaliczono następujące przedmioty: Naprzód daje się środki do użytku podczas godzin szkolnych: przedmioty niezbędne do wykładów froeblowskich, książki do czytania, kałamarze, atrament, pióra, obsadki, ołówki, gumę do wycierania, tabliczki szyfrowe, gryfle, kantówki, nożyczki, igły, naparstki, niezbędną do robót żeńskich bawełnę, nici itd. Nadto dzieci dostają jeszcze do użytku po za szkołą atlasy, podręczniki, papier, kajety, oraz inne przedmioty, które wielka rada uzna za stosowne. Z powyższych przykładów czytelnik może nabrać wyobrażenia o charakterze rozpatrywanej reformy. Do tego brazu winniśmy dodać jeden szczegół. Wobec samodzielności kantonalnej zasada bezpłatności przedstawia całą mozajkę różnic w pojedynczych częściach Szwajcaryi. Jednak z góry można mniemać, iż w niedługim czasie będzie ona ujednostajniona, tj. wszędzie wprowadzona i według możliwie najlepszych wzorów. Koła nauczycielskie stanowczo oświadczają się za tem. O panujących tutaj poglądach da najlepsze pojęcie następujący ustęp, wyjęty z *Berneńskiej gazety szkolnej*: „Te same względy, które nakazały wprowadzenie bezpłatnej oświaty, przemawiają obecnie za bezpłatnem udzielaniem środków szkolnych. Jest to tylko krok dalszy na utorowanej już drodze. Państwo odnosi z tego korzyść bezpośrednią, gdyż zmniejszając koszty oświaty, przyczynia się do tem liczniejszego uczęszczania do szkoły... Należy wydawać każdy środek szkolny tylko raz jeden, uczeń zaś, jeśli go zgubi, winien nabywać za własne pieniądze. Nadto powinny one być nie pożyczane, lecz darowane, wtedy więcej będą cenione, zostaną bowiem w rodzinie."

Zasada bezpłatności posiada już za sobą kilka lat doświadczenia. Warto się przyjrzeć, o ile okazała się praktyczną. Przeciwne głosy usiłowały dowieść, że zaprowadzenie czegoś podobnego wywoła jedynie ogólną demoralizacyę wśród dziatwy, przyuczy ją bowiem do nieoględnego marnotrawienia własności publicznej, tembardziej że rodzice, łożąc nie ze swojej kieszeni, mało będą zwracali uwagę na postępowanie swego potomstwa. Zarzuty te doznały zupełnej porażki. Rzeczywistość wykazała wręcz coś przeciwnego. Posłuchajmy niektórych sprawozdań. Dyrektor rady wychowawczej kantonu zuryckiego mówi: „W tych gminach, które wprowadziły u siebie bezpłatne udzielanie środków szkolnych i piśmiennych, spostrzeżono, iż dbałość o nie jest większa, niż dawniej. Jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą. Ponieważ na uczniach i nauczycielach ciąży obowiązek oględnego postępowania z powierzonym przedmiotem, wystarcza zatem, aby zrobiono najmniejszą wymówkę nawet nieporządnym uczniom, a już otrzymujemy rezultat pożądany." Z wielu innych świadectw wybierzemy jeszcze jedno, pochodzące już nie od osób zawodowych: *Bazylejskiej gazety codziennej*. „Zarzuty i obawy, które wypowiadano z powodu tego dobroczynnego urządzenia, nie sprawdziły się, o ile wiemy. Środki szkolne są utrzymywane w porządku i czystości i nie stały się źródłem marnotrawstwa i niecenienia. Bezpłatne udzielanie odpowiednich przedmiotów było potrzebą palącą i wykazało już swoje dodatnie skutki." Przyjrzyjmy się jeszcze samemu sposobowi wykonywania nowej ustawy, przynajmniej temu, jaki przyjęto w zuryskich szkołach początkowych. Mianowicie na początku każdego roku szkolnego każdy dzieciak otrzymuje zupełnie nowe przedmioty, potrzebne w klasie. Jeżeli je w ciągu roku stracił lub zepsuł, dostaje powtórnie, lecz na swój rachunek. Opuszczający szkołę winni zwrócić otrzymane rzeczy. Przedmioty dawane są opatrzone stemplem i przechowywane przy szkole; przed początkiem wykładów wydaje się je uczniom, którzy mogą zabrać je do domu za wiedzą i zgodą nauczyciela. Materyały piśmienne oraz do rysunków i robótek są wydzielane w miarę potrzeby i pozostają własnością ucznia, nawet kiedy opuszcza szkołę; lecz cyrkle, ekierki są wydawane tylko podczas wykładów. Ustawa szkoły wtórnej z tego samego miasta daje jeszcze niektóre przepisy uzupełniające. Przy końcu każdego półrocza szkolnego odbywa się rewizya powierzonych uczniom przedmiotów; kustosz z nauczycielem przeglądają rzeczy, oszacowywują poczynione szkody, które uczeń winien zwrócić. Na każdym przedmiocie wynotowano szkołę, numer kolejny, imię ucznia, cenę oraz datę pomieszczenia dziecka, przestrogę, iż należy pilnie oszczędzać własność publiczną. Nadto każdy uczeń otrzymuje szczegółowe przepisy, jak winien postępować. Nakazuje mu się, iż książki winny być obłożone papierem, tablice zaś rysunkowe w drodze do domu—miękką tkaniną. Niewolno na udzielonych przedmiotach pisać, ani rysować; podobnie surowo zakazano przylepiać obrazki, wycierać stemple itd. Na drodze do szkoły rzeczy te winny znajdować się w tornistrze. Za każde uchybienie tym przepisom czeka ucznia kara w wysokości dwudziestu centimów. Nadto w doręczanej ustawie znajdują się jeszcze dalsze paragrafy, określające, w jakich wypadkach uczeń winien nagrodzić uczynioną szkodę, oraz jak wielkiem winno być to zwrócenie. Widzimy tedy, że ustawa szkolna rozciąga baczną uwagę nad uczniem, który kiedyś był pozostawiony zupełnie samemu sobie. Nie dziw też, że sprawozdania nie mają słów na wypowiedzenie postępu, jaki widać w szkołach co do porządku i czystości, odkąd poczęto wydzielać bezpłatne środki szkolne.

Zatrzymywaliśmy się jedynie nad Szwajcaryą, gdyż poszła ona najdalej po tej drodze. Wprawdzie uchwalona w r. 1881 we Francyi ustawa głosi zasadę bezpłatności środków szkolnych w zakresie początkowego wykształcenia, lecz prawo to pozostało jedynie martwą literą na papierze. W Paryżu słowo stało się ciałem. Po za tem owa zasada znalazła szerokie zastosowanie w pojedynczych stanach Związku północno-amerykańskiego. Jednak praca Müllera nie daje żadnych szczegółów w tym przedmiocie. Zdarzyło się nam mieć w ręku pewną pracę, która zdawała właśnie sprawę z doświadczenia szkolnego amerykańskiego. Podobnie jak o Szwajcaryi, nad uczniem rozciągnięto tutaj pilną uwagę. Skutki są tego rodzaju, iż książka, o której wspomnieliśmy, powiada, że gdyby zasada bezpłatnego udzielania uczniowi środków szkolnych nie istniała, należałoby ją wynaleźć, gdyż okazała się najdzielniejszym środkiem do wypielęgnowania w dziecku uczuć szacunku względem rzeczy publicznej. Jest to nader ważne źródło pedagogiczne uspołecznienia małych obywateli kraju. Müller ze swego własnego doświadczenia czyni podobne spostrzeżenie i z całą siłą kładzie nacisk na tę stronę bezpłatnego udzielania podręczników, cyrklów i innych przedmiotów.

K. R. Żywicki.

LIBERUM VETO.

Urodzaj na nowelki. — Specyalni dostawcy. — Konkurs *Gazety sądowej*. — Jeden zapaśnik. — Na co nie mogą się zdobyć nasi prawnicy. — Typ nadwiślanina. — Żywa encyklopedya. — Zajście przy Morskiem Oku. — Bohaterski atak żandarmów węgierskich na komisyę sądową. — Gdzie jest Austrya i co pod tym wyrazem rozumieć należy. — Spodziewany wynik procesu. — Prawdziwa a nieprawdopodobna farsa.

O tej porze pisma kronikarskie wyglądają jak niedźwiedzie przy końcu zimy — ssą swe własne łapy i z utęsknieniem oczekują chwili, kiedy życie znowu zmartwychwstanie. Są jednak poczciwi ludzie, którzy, jak mogą, podtrzymują naruszoną równowagę środków dziennikarskiej żywności — mianowicie noweliści. W sierpniu objawia się zwykle nadzwyczajny urodzaj na obrazki, fragmenty, intermezza, sylwetki i tym podobne produkty, przeznaczone na czas wypoczynku muz. Są nawet osobni dostawcy tego towaru. Przez jesień, zimę i wiosnę warsztaty ich stoją bezczynne, dopiero w lecie ożywiają się nadzwyczajnym ruchem. Ani deszcze, ani chłody nie uszkodziły plonów tego rodzaju w roku bieżącym. Zebraliśmy nowelek snopy, sterty, całe stodoły. Kto słomę spożył (ziarna w niej nie było)— nie wiemy, ale ktoś bodaj w części spożyć musiał, bo nie przypuszczam, ażeby wszystko zgniło.

Mam pewne podejrzenie, że prawnicy nasi pisują nowelki. Podejrzenie to mogłoby nam poniekąd objaśnić losy konkursu *Gazety sądowej*. Wyznaczyła ona nagrodę za uznany jako najlepszy artykuł — wyraźnie: *artykuł* — z dziedziny prawa cywilnego lub kryminalnego na temat dowolnie wybrany. Pierwszy termin upłynął bez rezultatu, na drugi (1 sierpnia) przysłano jedną — wyraźnie: *jedną pracę*. Uprzytomniwszy sobie, że uniwersytet warszawski najwięcej corocznie wypuszcza prawników, że nie licząc rozmaitych instytucyj, w których znajdują się jego wychowańcy, samych obrońców posiada Warszawa 300 kilkudziesięciu, że konkurs wymagał tylko artykułu i nie krępował go żadnymi warunkami treści — uprzytomniwszy sobie to wszystko, przyznać musimy, że chyba nigdzie synowie Temidy nie złożyli dowodu podobnej obojętności. Ażeby 1000 ludzi uniwersytecko wykształconych (tylu co najmniej jest prawników w kraju) nie mogło dostatecznie zasilić jednego swego organu i obdarzyć go jedną maleńką pracą na konkurs — to byłoby trudne do uwierzenia, gdyby nie było prawdziwe. Jakkolwiek osobiste sympatye i antypatye są u nas naczelnymi tonami w każdej sferze społecznej, nie sądzimy, ażeby one oddziałały wyłącznie na obecny wypadek. Bo przecież gdyby *Gazeta sądowa* była dla większości prawników naszych pismem nieodpowiedniem, czy niemiłem, to z pewnością założyliby sobie inne. Drugiego upustu dla swych prac naukowych nie mają i nie szukają, więc widocznie ten im wystarcza, a raczej przerasta ich potrzeby umysłowe. Zresztą gorszący wynik konkursu pozostaje w zupełnej harmonii z ogólną bezpłodnością pisarską prawników naszych. Do pióra po za czynnościami zawodowemi mają oni wstręt nadzwyczajny. Chyba żadna inna gałąź literatury nie rozwija się tak mizernie, jak prawnicza; zaledwie kilka liści i pączków wypuszcza ona rocznie. Jest to tem bardziej uderzające, że wiedzą i zdolnościami na tem polu celowaliśmy zawsze. I gdyby nawet dziś jakiś cudzoziemiec znalazł się między naszymi adwokatami, zdziwiłby się niezawodnie nad ich szerokiem ukształceniem, bystrością spostrzeżeń, a nieraz głębokością wywodów. Ani przypuszczałby, że u tych ludzi jedyny organ prawniczy żebrze o artykuły i zwykle odchodzi z pustemi rękami. Bądźmy wszakże sprawiedliwi: nasz prawnik posiada wszystkie cechy nadwiślanina, który jest chodzącą encyklopedyą, żadnej specyalności się nie poświęca, ale „wszystko ludzkie sobie przyswaja." Zagadnijcie go o cokolwiek: o Zolę, elewatory, hypnotyzm, teoryę dziedziczności, Huxleya, Lorma, Eiffla, torpedy, śpiewy tyrolskie, amazonki dahomejskie, o wszystkiem wie, a nieraz bardzo dużo. Gdybyście jednak naszemu nadwiślaninowi doradzili, ażeby się zajął zbadaniem spółek, wrażeń nieuświadomionych lub spadków — przyjąłby to tak samo, jak propozycyę, ażeby zamieszkał w łupinie orzecha. On bowiem dla swego umysłu potrzebuje szerokiego przestworu, Faryso-

wych biegów, ustawicznej podróży po dziedzinie wiedzy. Każda jej okolica wkrótce go nudzi; ma on jedno miejsce, gdzie stale przebywa i pracuje — medycynę, prawo lub przyrodoznawstwo, ale ile razy tylko może, robi wycieczki. Właściwie zatem znajduje się w ciągłej podróży duchowej: dziś odwiedza Dumasa, jutro Emina paszę, pojutrze teatr Wagnerowski, szpital Charcota, pracownię Kocha itd. Nie odbiega od tego typu prawnik. Odrobiwszy w domu i w sądzie czynności obowiązkowe, otrząsa pył swego zawodu, przebiera się i idzie na *agorę*, gdzie miesza się do wszelkich spraw publicznych. Wtedy, jak mówi, odświeża swój umysł, nie pozwala mu sztywnieć w specyalności. Praca naukowa nad jakimś wyodrębnionym przedmiotem, nad jakąś szczegółową kwestyą nie pociąga go wcale. Mniema on bowiem, że go w tym względzie wyręczą inni, najczęściej uczeni zagraniczni, którzy mu dostarczą gotowych postępów wiedzy. Jak nie trudni się hodowlą winogron lub fabrykacyą cygar, chociaż te produkty są mu potrzebne, tak samo nie bada systematycznie i nie rozwiązuje zagadnień prawnych, bo to zrobią specyaliści. On zaś specyalistą nie jest w niczem. Nie odwraca się od nauki, ale nie uczestniczy w jej rozwoju. Nie jest ani producentem, ani kucharzem, ale biesiadnikiem, który przychodzi do zastawionego stołu i zjada danie najlepsze. Nie schwytasz go na niewiadomości tego, co wypracowano gdzieindziej, ale również nie zobaczysz nigdy przy pracy dla innych. Jest to w całem tego słowa znaczeniu spożywca, a nie wytwórca.

Jak rzekłem, w tych rysach zawierają się też typy nadwiślanina. Ponieważ przy pierwszem zetknięciu się ludzi najmocniej występują i uderzają blaski wiedzy encyklopedycznej, a dopiero później okazuje swą siłę specyalna, więc podczas podróży za granicą, a zwłaszcza w Niemczech, na każdym kroku uderza nas początkowo nieoczekiwana niższość wykształcenia klas oświeconych. O czem my rozprawiamy z największą wprawą i śmiałością, o tem ludzie oświeceni słuchają tam tak, jak gdyby encyklopedya rozmawiała z geologią. Można spotkać bardzo uczonego niemca, który nie będzie miał pojęcia o fizyce lub bakteryologii, a gdzież jest u nas między ukształconymi ktoś tak ograniczony? My obejmujemy cały obszar poznania — „z lotu ptaka."

Ta wszechstronność umysłowa ma niewątpliwie swój urok i wartość dla życia, ale nie jest żadną siłą dla nauki. Tacy ludzie bywają bardzo przyjemni i pożyteczni, ale nie rozniecają ognisk wiedzy, ogrzewają się tylko jej promieniami tak biernie, że czasem śród licznego ich grona może się nie znaleźć ani jeden, któryby umiał lub chciał napisać gruntowny artykuł do *Gazety sądowej*. Tu ma swoje źródło ten dziwny objaw, że przedstawiając się sobie i obcym jako ludzie bardzo ukształceni i krytyczni, jesteśmy przytem naukowo bezpłodni i do wytwórczości niezdolni. Człowiek, który równocześnie jedną nogą porusza kołowrotek, a drugą — tokarnię, jedną ręką uderza w klawisze fortepianu, a drugą wodzi po płótnie pędzlem, może być przedmiotem podziwu, ale nie porządnego nie uprzędzie, nie utoczy, nie zagra i nie namaluje.

Do kolumn prasy naszej przeszedł spór zawzięty, jaki się toczy nad Morskiem Okiem między podhalanami i hr. Zamojskim a magnatem niemiecko-węgierskim ks. Hohenlohe o posiadanie tej perły Tatr. Jeżeli sądy od wielu lat nie mogą sobie poradzić z tą zawikłaną sprawą, tem mniej możemy to uczynić my z daleka. Nie o wyrokowanie też nam chodzi, ale o poszukanie wraz z czytelnikami, gdzie jest... Austrya. Na mapie widzimy ją istotnie odznaczoną osobnym kolorem, podręczniki zapewniają, że jest to jedno państwo; tymczasem awantura nad Morskiem Okiem przekonała nas dowodnie, że to wszystko fantazya. Kiedy bowiem z Nowego Targu przybyła na miejsce komisya sądowa dla zbadania rzeczy, żandarm i węgierscy, stojący w obronie roszczeń i zaborów ks. Hohenlohego, wymierzyli do niej broń. I gdyby nie wczesna przezorność c. k. przedstawicieli prawa, która im doradziła rejteradę, stróże bezpieczeństwa publicznego byliby ich naszpikowali jak zające. Czegoś podobnego, ażeby żandarmi zwrócili broń przeciw delegatom sądowym tegoż samego państwa przy wykonywaniu czynności urzędowych, wiek nasz chyba jeszcze nie oglądał, a sprawić mu taki ciekawy widok mogła tylko Austrya. W ten drobny fakt wcieliła się cała jej niemoc jako organizmu politycznego. Właściwie dziś już nie istnieje państwo tej nazwy od czasu, jak niemcy stracili w niem przewagę. Dawniej byli oni nietylko monopolistami przywilejów, ale nadto kitem spajającym budowę. Obecnie zamiast Austryi powstały Węgry, obok których powaśniona gromada rozmaitych narodowości wrzeszczy, bije się i wyrywa sobie czuby. Jedynie madziarowie stoją spokojni, bezpieczni, niewzruszeni i dumni, jak skała. To też jeżeli pod wyrazem: *Austrya* rozumiemy obszar panowania Franciszka Józefa — to ma jakiś sens; ale jeżeli pod tem mianem chcemy pojmować uorganizowane i spójne państwo — to nie ma sensu. Stanowi ona dziś towarzystwo akcyjne, którego udziały sprzedają się na wszystkich giełdach politycznych a głównie są w posiadaniu węgrów. Z równą słusznością możnaby ją nazwać „Wulkanem," „Globusem," albo nawet „Kramsta i Sp."

Korespondenci gazet naszych ciągle donoszą, że prezes Koła, Jaworski, wniósł skargę do hr. Taaffego, że prezes ministrów „poczynił energiczne przedstawienia" w Peszcie; że nadużycia żandarmów węgierskich będą ukarane itd. Wszystko są to pobożne życzenia i spełniłyby się niezawodnie w każdem państwie, ale nie w rzeszy państewek, z których każde uważa się i ogłasza względem innych w stanie otwartej wojny, a najmocniejsze drwi ze słabszych. Na ten temat opowiemy austryakom następującą — prawdę. Przed paru miesiącami w Niemczech żandarm zaaresztował pewnego człowieka, zrewidował mu pakunki, a chociaż nie znalazł nic podejrzanego, zatrzymał go przez noc w kozie. Zaaresztowany, jak się okazało, nie był istotą prawomyślną, pomimo to jednak stróż bezpieczeństwa za przekroczenie władzy skazany został przez sąd na 4 miesiące więzienia. Jego wina w porównaniu z zachowaniem się zuchów węgierskich była bardzo drobną, bo tylko pozbawiła swobody na kilkanaście godzin człowieka prywatnego, a przecież wymierzono mu tak surową karę. Przy Morskiem Oku żandarmi znieważyli ciało urzędowe: w Niemczech, w jakiemkolwiek zresztą państwie poszliby pod sąd jeszcze przed rozstrzygnięciem sporu granicznego; w Austryi nic im nie będzie, bo głównymi uczestnikami w tem towarzystwie akcyjnem są węgrzy. Sądzicie, że się mylę? Zakładają się ludzie o biegnące do mety konie lub o walczące przepiórki, otóż ja jestem gotów trzymać zakład o nietykalność żandarmów węgierskich i radzę wszystkim Towarzystwom, ażeby ich ubezpieczyły od odpowiedzialności za niską opłatą. Niezawodnie Austrya jest *ein Rechtstaat*, ale bogowie wiedzą, co robić wolno *in einem Rechtstaate*, jeżeli się należy do stanu uprzywilejowanego. A takim wielkim stanem uprzywilejowanym są węgrzy. Gdy oni w Peszcie mrukną — w Wiedniu grzmi, gdy krzykną — huczy orkan, gdy rozkażą — wszystkie karki zginają się jak zboże pod wiatrem! *Es muss etwas geschehen*, coś musi się stać w sprawie skandalu nad Morskiem Okiem, ażeby sprawiedliwość nie rozdarła szat ze zgrozy, ale to *etwas* będzie takie skromne, że stańczycy krakowscy całemi piersiami nie zdołają rozdąć do wielkości pęcherza, którego zwykle używają, pływając po burzliwych falach polityki austryackiej. Tymczasem zaś juhasom, bacom, wogóle góralom nie odbieram ducha do walki o zabrane im pastwisko, ale komisarzom c. k. sądu w Nowym Targu nie radzę wyjeżdżać do Morskiego Oka, bo ich żandarmi węgierscy mogą mocno poturbować, a przynajmniej zabrać i nie oddać c. k. rządowi aż po uzyskaniu należytego wykupu. To nie ma żartów. Pan Hohenlohe, jeżeli zechce, zostanie austryackim Atanasiosem, i co mu zrobi c. k. sprawiedliwość, dopóki on trzymać się będzie gruntu węgierskiego? Pokrzywdzeni przez niego doznali niewątpliwie wiele przykrości i strat, ale dla odległych świadków zajście to ma w sobie dużo humoru. I gdyby jakiś Meilhac w libreccie do operety Lecoqa przedstawił podobną scenę, jaka się odegrała przy Morskiem Oku, z pewnością krytycy zarznęliby mu, że farsę posunął za daleko. A jednakże fakt wyparcia przez żandarmów z bronią w ręku komisyi sądowej tegoż samego państwa stał się rzeczywiście.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Charlactwo społeczne. — Przedsiębiorstwo pedagogiczno-zdrowotne. — Chybione wyrachowania. — Szkoła pływacka w Lublinie. — Talizman zdrowia i bezpieczeństwa publicznego. — Wymowne cyfry. — Genialny pomysł w *Kaliszaninie*. — Handel pieniędzmi fałszywymi. — Zaśniedziałość cechowa. — Dwa prądy.

Największego zasobu wrażeń niemiłych dostarczają mi zawsze tłumy uliczne. Dość jest przejść w dzień świąteczny przez jaką aleję uczęszczaną lub ogród, ażeby ujrzeć w całej pełni wystawę charłactwa naszego. Starcze twarze młodzieńców, ziemniste, wyżółkłe lub zielone, postacie wątłe, skurczone, pomięte, ubrane bufiasto dla ukrycia zanikłych mięśni lub pełne, o policzkach nalanych, bladoprzezroczystych, apatya znudzenie, bezmyślność, oto jest bogaty dorobek fizyczny, którego nikt nam nie pozazdrości i nie odbierze. W gromadach tych omnibusów chorobowych, w żywych przyrządach do hodowli bakteryj, osobnik pełen życia i zdrowia, chciwie ścigany tysiącami spojrzeń zazdrosnych, jest nader wielką rzadkością. Tyle przynajmniej pociechy, że w ostatnich czasach przychodzimy do coraz jaśniejszej świadomości swego stanu i robimy chociaż słabe wysiłki dla wyratowania od zagłady przyszłych pokoleń lub wyprostowania zastarzałych wykrzywień fizycznych. Jednym z ważniejszych objawów w tym kierunku jest zwrócenie uwagi na stronę hygieniczną w systemie szkolnym a po za tem starania jednostek prywatnych, wprawdzie z charakterem spekulacyjnym, ale nie pozbawione dodatnich stron społeczno-zdrowotnych. Niedawno dwaj nauczyciele prywatni, pp. Jan Chromiński i Teodor Gniedysz, wystąpili do władzy o pozwolenie na zakład pod nazwą pensyonatu wakacyjnego. Według zapewnień *Kur. Warsz.* ma on powstać w roku przyszłym w pobliżu Suchedniowa, stacyi kolei Dąbrowskiej i służyć dla dzieci rodziców średnio-zamożnych. Obszerny budynek zmieści osiem sypialni, po 10 łóżek i jadalnię, inny połączony z poprzednim zapomocą korytarza krytego, obejmie kuchnię, pralnię i spiżarnię. Czas pobytu pensyonarzy oznaczono od 25-go maja do 15-go września. Chłopcy, przyjmowani tylko „z lepszem wychowaniem", podzieleni będą według wieku na trzy kategorye: od 9 do 12 roku, od 12 do 14 i od 14 do 17. Z chorobami zakaźnemi i chronicznie nieuleczalni nie znajdą wstępu. Program zajęć dziennych podzielono w sposób następu-

jący: o godzinie 6-ej wstawanie i kąpiel, następnie śniadanie i przechadzka, odrabianie zadań szkolnych i przygotowywanie się do egzaminu, o południu obiad z wypoczynkiem i gimnastyką, spacer zbiorowy z podwieczorkiem, o godz. 7 ., kolacya i po krótkiej przechadzce o 9-ej wieczorem spoczynek. Opłata tygodniowa po 12 rs. od jednego chłopca za mieszkanie, życie, nadzór pedagogiczny, pomoc naukową itd. Opranie, specyalny stół dyetetyczny, lekarstwa i doktór należą do rubryki opłat dodatkowych. Projekt jest piękny, szkoda tylko, że więcej zeń wygląda interes prywatny, obliczony na dochód 7-procentowy, niż dobro publiczne. Z tego powodu odrazu na wstępie inicyatorowie minęli się z celem: utworzenia zakładu dla dzieci rodziców „średniozamożnych“, t. j. każą im płacić za sezon przeszło po 170 rubli, nie licząc prania, odżywiania się dyetetycznego (które częściej bywa tańsze niż zwykłe) i pomocy lekarskiej. Jeszcze dziwniejsze są błędy programu zdradzające nieznajomość elementarnych zasad pedagogicznych, jak np. gimnastyka poobiednia, a już wprost niezrozumiałym okres pobytu w zakładzie. Zaczyna się on w chwili najgorętszej pracy w szkołach, a kończy, gdy już lekcye powakacyjne są w pełni. Możnaby przypuścić, że pensyonat nie będzie miał przeznaczenia dla młodzieży szkolnej, co potwierdza nawet punkt o „przygotowywaniu się do egzaminu,“ ale w takim razie zakład przeznaczony na wypoczynek letni nie może być szkołą przygotowawczą. Możliwe byłyby dwa odrębne działy pensyonatu: dla uczniów i kandydatów szkolnych, ale o tem niema mowy w programie. O ile wnosić można, inicyatorowie mają na-względzie biuralistów miejskich, którym rozmiary pensyi pozwalają na wychowanie dzieci. Ludzie tacy, przykuci wiecznie do zajęć obowiązkowych, jeżeli pozwalają na skromne letnie mieszkania dla swych rodzin, to w większości wypadków muszą się uciekać do kasy lichwiarskiej. Naiwnością więc trąci oznaczenie wygórowanej opłaty za pobyt w pensyonacie, z którego przecież nie będą korzystali *zamożni*, mający sposobność i środki na wygodniejsze pomieszczenie swych dzieci. Żałuję, że wobec tego nie mogę się przyłączyć do oklasków z którymi pospieszyła reporterya dla pp. Chromińskiego i Gniedysza, ale natomiast muszę im zarzucić nieznajomość warunków bytu naszego społeczeństwa, wobec czego myśl dobra rozbije się o tamę, stworzoną bezwiednie przez inicyatorów, jeżeli zawczasu nie zmienią zasadniczo planu swego przedsięwzięcia. Pensyonaty takie, uprzystępnione materyalnie pod kierunkiem wytrawnych pedagogów i hygienistów, mogłyby oddać nieocenione korzyści w rozwoju fizycznym i moralnym przyszłych pokoleń.

Z tej samej zasady wychodząc, przypisujemy wielką zasługę założycielowi szkoły pływackiej w Lublinie. Jest to walka z charłactwem w szerszym zakresie, bo stająca w obronie nie tylko wątłych organizmów młodzieńczych, ale i dojrzałych, niedorozwiniętych, o mięśniach zwiędłych, płucach słabych i stawach sztywniejących, nadto ważny tu wzgląd stanowi bezpieczeństwo publiczne. Gdyby szkoły pływackie powstały we wszystkich miastach, miasteczkach, osadach nadrzecznych i gminach, a nauka pływania stała się obowiązkową, nie mielibyśmy tylu wypadków na wodzie, utonięć pojedyńczych i masowych. Wprawdzie posiadamy „dzielnych“ wioślarzy w Warszawie i Płocku, liczebnie wzrastających, ale większość ich w razie przewrócenia się łodzi z pewnością poszłaby na dno. Były już tego smutne przykłady. Gdyby uczniowie wszystkich szkół obok gimnastyki mieli obowiązkowe pływanie, przyszłe pokolenie na myśl o wodzie nie otrząsałoby się jak kot, gdy w niej łapę umacza.

Nie wielką rękojmię bezpieczeństwa publicznego przedstawia dziś na prowincyi orgizacya ratunkowa w razie pożarów. Co rok o tej samej porze korespondencye pism przepełnione są kronikami klęsk ogniowych i utyskiwaniem na niedołężny ratunek, na beczki porozsychane, brak toporów drabin, wiader itd. Wymowne są cyfry, ogłoszone niedawno przez centralny komitet statystyczny przy ministeryjum spraw wewnętrznych. W ciągu lat pięciu (do roku 1887) ogółem w całem państwie było 238,220 pożarów, spaliło się 708,350 budynków, suma strat wyniosła 356,775, 100 rs. W Królestwie Polskim w okresie tym było 4308 pożarów, spaliło się 10,837 domów, straty wyniosły 4,184,520 rs. Ile ciężaru przybyło społeczeństwu, ilu pogorzelców wyciągnęło ręce po jałmużnę, tego żaden komitet statystyczny nie potrafi obliczyć. Nie odczuwa tego zapewne korespondent *Kaliszanina*, podający projekt zwiększenia... kadrów żebraczych.— „Niech tylko złodziej wyprowadzi konia lub krowę—rozumuje projektodawca—a zaraz poszkodowany za śladami pędzi na jej poszukiwanie, spotykając po drodze kumotrów i kumoszki, dowiaduje się skwapliwie, ktoby mógł wyrządzić mu krzywdę i najczęściej w końcu odzyskuje zgubę. Dla czego w tym wypadku dają sobie radę poszkodowani? Bo za krowę nikt im nie zapłaci, spali się zaś chałupa,—to dostanie za nią pieniądze i jeszcze lepszą wystawi“. Otóż, zdaniem korespondenta, byłoby rzeczą zbawienną dawać wynagrodzenie „nie prędzej, jak po dowiedzeniu przyczyny pożaru“. Gdyby ten pomysł był spłodzony na konkurs towarzystw ubezpieczeń, autor jego otrzymałby sutą nagrodę. Ponieważ wyszukanie przyczyn pożaru w wielu razach jest rzeczą niemożliwą, przez wprowadzenie więc w czyn projektu korespondenta ryzyko przedsiębiorstw asekuracyjnych znacznieby się zmniejszyło, a dywidenda niesłychanieby urosła. Nie genialnyż to pomysł?! „Zniżenie szacunku asekurowanych budynków bezwarunkowo wpłynie na zmniejszenie wypadków pożarów“—dowodzi ten sam korespondent. Ciekawa rzecz, jak daleko sięgałaby śmiałość jego pomysłów w gatunkowaniu przyczyn pożarów, np. jak się zachować przy wypłacie sumy ubezpieczenia, jeśli zniszczenie pochodzi z zarzewia piorunowego? Mielibyśmy sposobność sprawdzić, o ile nacisk przepisów może zastąpić oświatę. Wiadomo, iż lud prawie wszędzie zachował głęboką wiarę w nietykalność ognia zesłanego z nieba, lub w możność jego gaszenia tylko mlekiem. Czy zniżenie szacunku asekuracyjnego wpłynie na wyplenienie przesądu, może nam odpowie korespondent *Kaliszanina* i wskaże sposoby rozpraszania ciemnoty bez pomocy światła.

Dotąd nikt jeszcze nie znalazł sposobu zniechęcenia włościan do nabywania „fałszywych“ pieniędzy, nie wywarły skutku nawet dotkliwie znaczone na ich własnej skórze przykłady oszustwa. Ciekawem świadectwem naiwności chłopskiej i nieprzepartej żądzy łatwego zbogacenia się są fakty, opowiedziane w *Gazecie Świątecznej*: We wsi Dzierzkowicach, pow. janowskim gub. lubelskiej włościanin Chudzicki uciułał 180 rubli nie pożyczał ich nikomu, nawet w kasie publicznej bał się umieścić. Z namowy jednak dwóch znajomych, którzy obiecywali mu sumę powyższą zmienić na czterysta rubli fałszywych, pojechał do Opola. Oszuści za miastem wręczyli mu niby paczkę pieniędzy zapieczętowaną i kazali co prędzej uciekać, „żeby się kto nie dowiedział i nie gonił“. Ukryci nieopodal przy drodze dwaj towarzysze wpadli nań z pogróżkami. Gospodarz wystraszony rzucił paczkę i umknął do domu bez grosza i butów. Gdy opowiedział swoje nieszczęście sąsiadowi Kuropatwie, ten zawołał: „Głupi, kto się daje oszukać; mnie z pewnością nie wyprowadzą w pole!“ I pożyczywszy 46 rubli na znaczny procent, poszedł w ślady poprzednika. Umówił się z tymi samymi oszustami o 200 fałszywych za powyższą sumę lecz po rozpieczętowaniu otrzymanej paczki, nie znalazł śladu pieniędzy. Przykłady takie powtarzają się ciągle z małemi odmianami. Jest to jeden z rysów charakterystycznego hypnotyzowania tłumów, które widzą przez mroki blask raju ziemskiego, ale nie mogą śród tych ciemności dostrzedz staczania się w przepaść swych jednostek w pogoni za mamidłem.

Zdaje się, że sile uporu i konserwatyzmu chłopskiego nie ustępuje u nas zaśniedziałość cechowa. Jakoś coraz częściej w ostatnich czasach dochodzą skargi zewsząd na psucie się zbutwiałych i wyszczerbionych kółek w tej maszyneryi archaicznej. Ktoś w *Gazecie Lubelskiej* uchyla zasłonę miejscowego cechu szewckiego i pokazuje smutny obraz zrogowaciałości. Kasa tamtejsza majstrów bardzo jest uboga, gdyż wpływają do niej tylko jednorazowe (po 20 rs.), wpisy na majstra i takież na czeladnika po rs. 5 tudzież ucznia po rs. 4. Zasoby z tych źródeł nie wystarczają na szkołę, szpital i wsparcia podupadłych. Skłoniło to obecnego starszego do wynalezienia innych dochodów. W tym celu zalecił on majstrom płacenie składek miesięcznych po 15 kop. t. j. prawie tyleż, co płaci czeladnik. Na to się nie zgodzili, a nawet większość nie przyszła na sesyę. Starszy, niezrażony oporem, podjął inną sprawę, oświaty uczniów, chciał stałą urządzić nad nimi opiekę, w celu czuwania nad regularnem uczęszczaniem do szkoły niedzielnej, ale i tu napotkał odmowę. Znaleźli się tacy, którzy nie chcieli poddać się prawu, wymagającemu przed wyzwolinami na czeladnika złożenia świadectwa z ukończenia przynajmniej elementarnych kursów szkoły rzemieślniczej. Jeden nawet pogroził, że jeżeli mu nie wyzwolą chłopca bez tego świadectwa, pojedzie do Warszawy i tam postąpi według własnego życzenia. Nadto starszy usiłował przedsięwziąć środki do zwalczenia współzawodnictwa z tandetą sklepową, ale i tu natrafił grunt krzemienisty! „Niektórzy majstrowie—mówi *Gazeta Lubelska*—nie rozumiejąc własnego interesu, oddalają lepszych a więc droższych czeladników i przyjmują natomiast tańszych i lichszych, pierwsi, pozbawieni miejsc przechodzą do warsztatu przedsiębiorcy żyda i tem samem podnoszą dobroć jego wyrobów. W obec tego wszystkiego majstrowie zupełną okazali obojętność“. Inaczej się zachowuje czeladź; zbiera się licznie na sesyach, chętna jest do składek; dawniej z warsztatów wpływ był najwyższy 5 rs., dziś przewyższa 31. Starzy wzdychają tylko do niepowrotnych czasów, młodzież zaś energiczna, lepiej znająca życie, wielce jest czynną. „Można śmiało zapewnić panów majstrów, pisze organ lubelski—że gdy nadal potrwa dobry duch w kole czeladzi, to się z czasem znaczny utworzy majątek stały, z którego będzie można udzielać zasiłki do zakładania warsztatów, sklepów i dzielić pewną część procentów między członków. Porządek tam panuje wzorowy“. Świeży strumień zaczyna się wdzierać do kotliny, gdzie od wieków w wodzie stojącej gromadziły się i rozkładały wszelkie odpadki. Z czasem wyciśnie on cuchnącą zawartość przemyje i rozszerzy wgłębienie zamulone, aby je połączyć w przyszłości z rozgałęzieniem wielkich łożysk, przez które przepływać będzie zbiorowa praca ludzka.

Drogomir.

KRONIKA.

Wiadomości administracyjne. *Warsz. Dniew.* pisze: „Podczas zdarzających się nieporządków ulicznych często znajdują się w tłumie studenci uniwersytetu i innych wyższych zakładów naukowych. Policya aresztując tych młodych ludzi, może popełniać mimowolne omyłki przy określaniu osobistości studentów i z tego powodu mo-

ga się zdarzać wypadki smutnych nieporozumień, przy których ludzie niewinni bywają aresztowani, a rzeczywiście winni uciekają. Tymczasem zapobieżenie takim wypadkom łatwo się daje osiągnąć, ponieważ na zasadzie przepisów wyższych zakładów naukowych student zawsze powinien mieć przy sobie bilet na prawo słuchania lekcyj i okazywać taki dowód nietylko na żądanie władzy naukowej i urzędników inspekcyi, ale także i policyi. Wskutek tego minister oświaty zalecił zwierzchności wyższych zakładów naukowych wydać rozporządzenie, aby studenci zawsze mieli przy sobie bilety i okazywali je natychmiast na żądanie policyi."

— Ma być powiększona kara za wykrycie jakiejkolwiek tajemnicy państwowej innemu mocarstwu, chociażby przyjaznemu. Winni ulegać będą zesłaniu do robót ciężkich na lat 10. Dotychczas za te przestępstwa groziła kara zesłania do oddalonych miejscowości Syberyi z pozbawieniem wszelkich praw stanu.

Sprawy społeczne. Na jesiennej sesyi rady państwa rozpatrywany będzie projekt utworzenia kasy emerytalnej dla nauczycieli wszystkich szkół początkowych.

— Na wieść o utworzeniu nowego oddziału asekuracyj życiowych pod nazwą „Przezorność" przy Warszawskiem Towarzystwie ubezpieczeń od ognia, złożono 1270 podań o posady. Istniały zaś tylko trzy wol[illegible].

— Jednocześnie z przepisami o odpowiedzialności zarządów towarzystw akcyjnych przed akcyonaryuszami, ministeryum skarbu wyda inne przepisy, mające na celu uchronienie tych instytucyj od bankructwa. Towarzystwo akcyjne obowiązane będzie przystępować do likwidacyi, skoro tylko kapitał obrotowy zmniejszy się o $\frac{1}{2}$. Ażeby usunąć wszystkie przyczyny, któreby mogły ukrywać konieczność natychmiastowej likwidacyi, minister ma prawo naznaczać rewizye wszelkich operacyj towarzystw.

— Na drugim zjeździe profesyonalistów poruszona będzie sprawa pracy małoletnich w fabrykach i zakładach przemysłowych.

— Inspektorowie lekarscy w Królestwie Polskiem zaliczeni zostali do V-ej klasy z pensyą 1,500 rs. rocznie. Niektórzy pobierają nadto opłatę za rozjazdy na zasadach ogólnych.

— Projekt otwarcia (z zapisu hr. Kickiego) szkoły oficyalistów dworskich w majątku Sobieszyn, po wprowadzeniu wymaganych zmian przesłano powtórnie do zatwierdzenia ministeryum.

— W Trieście siedemdziesięcioletnia firma, przedstawicielka Rotschilda paryskiego, zbankrutowała. Zobowiązania wynoszą siedem milionów.

— Z Ameryki powróciło 200 wschodnio-pruskich wychodźców-włościan, których władze tamtejsze, jako niedostatecznie wyposażonych w środki utrzymania, odesłały do Europy.

— Baron Hirsch jest niewyczerpany w pomocy dla współwyznawców. Agentom swoim w Argentynie dał polecenie nabycia ziemi na kolonizacyę za 20 milionów zlr. Nadto przeznacza 100 milionów franków na zakupienie gruntów w Azyi mniejszej wzdłuż budowanej kolei i wreszcie proponuje W. Porcie wydzierżawienie rozległych posiadłości tamże w taki sposób, iżby czynsz roczny wynosił 8—10 milionów fr. Pozostawia on W. Porcie prawo skapitalizowania renty rocznej. Tym sposobem Turcya otrzymałaby sto milionów fr., które mogłaby użyć na uzbrojenie.

Szkoły. Ogłoszono rozporządzenie, na mocy którego miasta w gub. północno-zachodnich zobowiązane zostały do wydawania zapomóg szkołom parafialnym z funduszów miejskich.

— Komisya, zajmująca się sprawą wykształcenia rolniczego, zaraz po wakacyach przystąpi do opracowania nowego typu niższych szkół rolniczych.

— W Rydze będą otwarte kursy medycyny elementarnej dla kobiet.

Sprawy kolejowe. Projekt ministeryum skarbu o centralizacyi sieci kolejowej w rękach niektórych większych towarzystw i oddaniu im w zawiadywanie niektórych lub nawet wszystkich kolei rządowych, napotkał poważne zarzuty ze strony większej części wyższych instytucyj państwowych.

— Według dotąd obowiązujących przepisów, pomocnicy zawiadowców stacyj kolejowych pozostają na dyżurach w ciągu całej doby, a następną mają wolną. Ze względu jednak na potrzebę większej czujności dla bezpieczeństwa publicznego, system dzisiejszy będzie zmieniony w ten sposób, iż pomocnicy zawiadowców będą czuwać na służbie tylko w ciągu dwunastu godzin, a odpoczywać, jak dotąd, 24.

Komunikacye. Założono nowe podmorskie druty telegraficzne pomiędzy Niemcami (w Emden) i Anglią. Także połączenie nastąpi brzegu niemieckiego z Helgolandem.

Wystawy. W Petersburgu odbędzie się wystawa rolnicza w jesieni r. p.

— Do rady państwa wkrótce wzniesione będzie przedstawienie o urządzenie wszechrosyjskiej wystawy przemysłowej w Moskwie w r. 1893.

— W Zagrzebiu otwarto w tych dniach chorwacką wystawię rolniczą.

— Otwarta obecnie w Londynie wystawa morska obejmuje wszystko, co dotyczy żeglugi, szczególnie floty wojennej. Największą ciekawość wzbudza obszerne jezioro, na którem codzień odbywają się ćwiczenia morskie, bitwy i ataki torpedowców na pancerniki.

Zjazdy. W Londynie otwarto międzynarodowy zjazd hygienistów.

— We Lwowie odbędzie się w jesieni zjazd zbo[illegible].

— W Waszyngtonie odbędzie się kongres geografi[illegible].

Facet, znany kalendarz humorystyczny, ukazał się z datą przyszłego roku. Jak zwykle jest bardzo wesoły i przyzwoity.

Wyścigi cyklistów na przestrzeni 100 wiorstowej między Wawrem a Garwolinem (tam i nazad) zakończyły się tryumfem p. Miecz. Horodyńskiego, który tę przestrzeń przebył w niespełna 6 godzin.

Wypadki. Między stacyami Muchenbuschel Zollikofen pod Bernem na linii kolei centralnej zetknęły się dwa pociągi. Dwanaście osób zabitych, ranionych 40.

Zmarli. Piotr Antoni de Alarcon, zdolny pisarz hiszpański.

— W. F. Douglas, prezydent szkockiej Akademii umiejętności.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu J. Sier. Pomijając usterki drobne i do usunięcia łatwe, szczerze przyznajemy, że utwór pański nosi na sobie wyraźne znamiona talentu.

P. Stan. Rasz. Zwyczaj, a nawet logika każe kłaść przecinek, nie kładąc jednak, nie popełnia się błędu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 9 Августа 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.